



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POŻYTECZNA INSTYTUCYA.

Dobra wiadomość doszła nas ze Lwowa. Zawiązało się tam wielce pożyteczne i potrzebne stowarzyszenie: *Stowarzyszenie Nauczycielek*, które wiąże między sobą te zasłużone na polu wychowania pracowniczki — pomocnice trudów matki, daje im wśród życia pracy to oparcie dobre, jakie wywiązuje się zawsze z sił zespoleń. Komitet tymczasowy składa się z osób jedenastu, członków liczy Towarzystwo trzystu; fundusze potrzebne do wprowadzenia w życie zamiarów Towarzystwa już też są zgromadzone.

Statut Towarzystwa tak wyluszcza jego cele według brzmienia ustawy: a) Zapewnienie członkom zwyczajnym w razie niemożności pracy schronienia czasowego lub stałego. b) Utrzymywanie biura nauczycielskiego. c) Udzielanie członkom w razie choroby lub nadzwyczajnej potrzeby, pomocy pieniężnej tytułem zapomogi, również i pomocy lekarskiej. d) Udzielanie, za małą opłatą, chwilowego przytułku nauczycielkom przyjezdnym lub zostającym bez zajęcia. e) Utrzymywanie w odpowiednim lokalu czasopism, biblioteki złożonej z doborowych książek, a przede wszystkim podręczników do egzaminów nauczycielskich. f) Wspólne zebrania, odczyty, pogadanki, wykłady naukowo-literackie. Stowarzyszenie składają: członkowie zwyczajni (nauczycielki jedynie) płacący 25 centów miesięcznie i jeden zł. reń. wpisowego; członkowie wspierający, którzy płacą przynajmniej tyle, co członkowie zwyczajni, wreszcie założycielki, składające jednorazowo 100 zł. reń. Później mogą być mianowani członkowie honorowi. Statut został zatwierdzony przez Namiestnictwo w miesiącu

Kwietniu; w Maju wynajęto skromne ale na razie dostateczne i wcale ładne, pomieszczenie (w Rynku) złożone z trzech pokoi i kuchenki, mieszcząc w niem, jako administratorkę, osobę wysoko wykształconą, wielkiej zacności charakteru, która życie swe całe spędziła na pracy nauczycielskiej.

Uroczyste otwarcie Stowarzyszenia odbyło się d. 22 Maja. Po odprawionej na ten cel Mszy Ś-jej nastąpiło poświęcenie lokalu przez ks. Stopczyńskiego, dyrektora szkoły p. p. Benedyktynę, w obecności licznie zebranych członków, oraz prezydenta miasta p. Mochnackiego, radców szkolnych p. p. Bolesława Baranowskiego i Teofila Gerstmanna, rektora wszechnicy lwowskiej p. Piętaka, inspektora szkół lwowskich p. Mieczysława Baranowskiego i wielu innych osób.

Po pięknych, pełnych ożywczego ciepła przemówieniach, które zakończyły uroczystość, odbyło się pierwsze walne zgromadzenie i wybrało wydział, składający się z osób dwudziestu. Następnie ukonstytuował się wydział, który wybrał z grona swego przewodniczącą, p. Zofią Romanowiczównę, zastępczynią jej p. Wincentę Longchamps; sekretarkę p. Anielę Aleksandrowiczównę, zastępczynią jej p. Maryą Lettner; kierowniczkę biura p. Stefanią Wechslerową, zastępczynią jej p. Annę Lewicką, opiekunką p. Wiktorję Niedziałkowską, zastępczyni p. Jadwigę Makusz, skarbniczkę p. Maryą Strzelecką, zastępczynią jej Wandę Żygadłowicz; bibliotekarkę p. Stefanią Koskowską, zastępczynią p. Helenę Szatkowską. Oprócz tych pań, członkami wydziału są: p. p. Jaworska Sabina, Kłossowa Filomena, Laurecka Joanna, Lederowa Marcela, Lewakowska Marya, Zielińska Marya, ksiądz Stopczyński Jan, prof. Wójcik Józef.

Biuro umieszczeń już funkcjonuje, a w Schronieniu znajdują się obecnie trzy młode nauczycielki, które przybyły do Lwowa dla zdania egzaminów i znalazły tu przyzwoite, wygodne pomieszczenie, płacąc za mieszkanie, pościel, światło

i usługę 25 centów dziennie. Biblioteka zakładu zaczyna się dopiero tworzyć, liczy więc zaledwie kilkadziesiąt dziełek, przeważnie podręczników egzaminowych. Fundusze stowarzyszenia, po opłaceniu i urządzeniu mieszkania, oraz innych niezbędnych potrzeb, są: fundusz budowy własnego domu Stowarzyszenia: 355 zł. reń., fundusz obrotowy 227 zł. reń.; można też wobec tych skrzętnych a pożytecznych zabiegów powiedzieć z głębi serca: — Daj Boże, aby powiodło się tu szczęśliwie! Sędziwy wiek nauczycielek, tych, obok matek, najpożyteczniejszych, najważniejszych między kobietami pracowniczek na polu ogólnego dobra, jest często bardzo smutną niedolą, jeżeli grosz ciężko zapracowany nie mógł być tak odkładanym na stronę, aby wytworzył kapitał, dający możność utrzymania się choćby najskromniejszego.

Lecz cóż jeżeli rozmaite życia okoliczności nie pozwolą na to? gdy pracująca ma obowiązki rodzinne, ma sędziwych rodziców, których starość obowiązana jest wspierać? Najlepiej uposażone w Galicyi są nauczycielki szkół publicznych: pensya ich, poczynając od 240 zł. reń., dochodzi do 900. Kierowniczkę szkół pobierają nieco więcej, i po wystąpieniu lat 35 otrzymują emeryturę, wprowadzie niewielką, ale zawsze dającą ich starości jakiś chleba kawałek. Nauczycielka prywatna, przy wydatkach koniecznych w jej położeniu, nie może zebrać sobie wiele, choćby nawet była najoszczędniejszą; a cóż dopiero, gdy nie ma zajęcia stałego, gdy daje jedynie lekcye, których często braknie?

Dlatego-to — jak pisze nam szanowna p. Zofia Romanowiczówna, — wykazując obraz położenia, które mniej więcej wszędzie tworzą warunki podobne, wzniesienie we Lwowie Schronienia Nauczycielek było niezbędnie potrzebnem tak, jak potrzebnem jest w każdym większem mieście, które stanowi ognisko umysłowego i społecznego ruchu. Z całego serca pragnąć też należy, aby ta pożytecz-

na instytucja rozwinęła się szczęśliwie i przy współzuciu ogółu zapewniła sobie trwanie stałe tak, jak jest już w Krakowie, jak jest w mieście naszym.

M. I.

DRÓŻNIK

OBRAZEK Z NATURY

naszkicował

Józef Starkman.

Gustawowi Kamińskiemu
Autor.

Gęsty bór. Po tym borze, gdzie mieszkał z rodziną,

Lubiłem się przechadzać szarawą godziną.
Tutaj spokojnie mogłem puszczać myślom wodze,
Tutaj takt mi nie stawał na fantazji drodze;
Wdychałem więc balsamy piersiami całym,
Podziwiałem naturę z jej wdzięki cudnymi,
I czułem się szczęśliwym niewypowiedzianie.—
Lecz nie długo to trwało. Twe wyroki, Panie!
Którym się dziś poddaję w największej pokorze,
Zgasiły mi okrutnie jasną życia zorzę.

Raz, sam nie wiem dlaczego, zaszedłem daleko,
I znalazłem się naraz nad wyschniętą rzeką:
Wyrębem lasu prostym zupełnie jak strzała,
Jak gdyby go wycięły kalibrowe działa,
Wśród tego szerokiego, rzeczno koryta,
Bieży długa mogiła, a brzegami żyta
Fantastycznie się srebrzą w sosenek zieleni,
Lub pszenica się złości od słońca promieni.

Na mogile dwie błyszczą ze stali linie,
Pod którymi, nie ciała—ale podkład gnije.
Po bokach sterczą słupy z białymi główkami,
Powiązane ze sobą czarnymi drutami,
A na nich teraz gęsto jaskółki siedziały
I świergocząc ze sobą korrespondowały.

W równych zawsze odstępach białe domki stoją,
A choć filigranowe, zbója się nie boją,
Mieszka w nich bowiem bieda złaczona z niedolą.
Marne zwykle przykrości świata nie zabola
Ich mieszkańców, przydrożnych bezpieczeństwa
Pędzą życie zaciszne, zdaleka od burzy, [stróży.
Zwanej cywilizacją; ale ich opieką,
Choć zdaje się pozornie od tego daleka,
Niesie tej dumnej pani nielada wygody:
Przyczynia się do nauk, oświaty—i mody.
Toć-to gdyby nie stróż, lada intruz jaki
Mógłby się stać przyczyną kłeski wielorakiej,
Spowodować rzecz straszna—pociągu rozbicie!
I opóźnić posiłek, co zapewnia życie
Pod dwojakim: i ciała i umysłu względem,
Rozwożony po świecie istic wiatru pędem.

Skierowałem swe kroki ku najbliższej budce,
Zajętej przez czujnego porządków dowódcę,
Aby dać wytchnąć nogom, ugasić pragnienie
I poznać—albo ja wiem? radość czy cierpienie?
Zaledwie uszedł jakie kilkadziesiąt kroków,
Wyfrunęła na drogę wśród białych obłoków,
Lśniaca lokomotywa a za nią rząd cały
Wagonów: małych domków, które z hukiem gnały
Jak szalone po relsach, warcząc przeraźliwie.
Już po kilku minutach uciechło szczęśliwie
I wszystko do spokoju wróciło dawnego;
Tylko przed białym domkiem spostrzegłem stu-

sznago
Mężczyznę. Stał jak wryty, potem wyjął chustę
I obeił nią oczy i policzki tłuste.
Dostrzegłem też odrazu u tego asana;
Że *in corpore sano non viget mens sana*;
Że ma duszę zbolalą, w sercu krwawą ranę....
Kto wie czy ja mu dobrym duchem się nie stanę?

Zacząłem więc odrazu:—„Mój dobry człowiecze,
Jestem bardzo strudzony, pot z czoła mi ciecze,
Pragnąłbym u was dostać szklankę zimnej wody
I zażyć wypoczynku i zdrowej ochłody.“

Zogadnięty w ten sposób, zwrócił smutne oczy,
Z których i teraz znowu duża łza się toczy,
A popatrzywszy chwilę, odrzekł:—„Przepraszamy,
Studzienka u nas wyschła, ni kropli nie mamy.
Jest mleko.“—„Dajcie“—rzekłem. Siadłem na mu-
[rawie;
On patrzył na mnie cicho, poważnie, ciekawie.
Miał ten człowiek coś w sobie, jak gdyby z obrazu,
Co to ciągnie do siebie i ciągnie odrazu.
Pod tą grubą sukmaną czułem serce prawe,
Które teraz ma z życiem bolesną przeprawę,
A pod czapką z kółeczkiem i dwoma skrzydłami,
Ujrzałem jasny umysł—duszy mej oczami
I nie omyliłem się.

Po minutach paru
Wyszedł, niosąc na tacy szklanicę nektaru
Białego, pienistego; a podszedłszy ku mnie,
Wyciągnął śmiało rękę i rzekł prawie dumnie:
—„Służę panu, zimniutkie, tylko co z piwnicy,
Więc trzeba pić potrosze, by nie mieć *dychnicy*.
Toć gadają ludziska, że człowiek spocony,
Gdy wypije zimnego, na pewno stracony.“

Wyrzekł to ironicznie, roześmiał się sucho,
Poczem westchnął głęboko, żałośnie i głucho.
—„Jakże się wam tu wiedzie, zacy przyjacielu?“
Spytałem, zapijając.—„Tak jak innym wielu,
Lecz narzekać nie można, proszę łaski pana.
Jest robota, co prawda, od samego rana
Do późnieniekiej nocy, a także i w nocy
Trza wstawać do pociągu, co leci jak z procy;
Jest jednak i życie z czego: grunt jest, kęs ogrodu,
Dom, pensja, rak dwoje—no, i niema głodu!
Zimą ciężiej, niż w lecie: w śniegu duża praca,
Bieda nieraz zagłada, zdrowie nie popłaca,
Lecz gdy się ma swój zagon i swoją nadzieję,
Że z wiosną będzie lepiej, że się i zasieje
I zbierze, i Bóg znoyny trud pobłogosławi—
Zimą przetrwać nie trudno, a lato łaskawiej
Już się uśmiecha. Praca dobytku przysparza,
I grosz też się dobrego trzyma gospodarza,
Gdy żona dobra, a moja—anioł, nie kobieta!
Jak ona gospodarna! niech się pan nie pyta.
Ona mnie z *godnej* książki czytała nauczyla,
Ona z *nalogowej*—człowieka zrobiła!“
—„A cóż to? czytujecie jaką książkę starą?“
Zapytałem ciekawie, wyjmując cygaro.

—„Nie, nie—odparł—Brat, co jest u nas konduk-

[torem,
Gdy jedzie od Warszawy, a pociąg pod borem,
Wyrzuci mi Kuryera. Czytam, lecz żałuję
Nieraz, że czytałem sami złodzieje i zbójce!
Okropności się dzieją na tym bożym świecie....
Wszak pan wie z tą Skublińską co to było w lecie?
A w zimie, gdy przeczytał tę zbrodnię Pawlaka,
To zatrzęsa mną całym lunacyja taka,
Że dziś, jak wyjdę nocą na mój posterunek,
Widzą mi się w wagonach mordy i rabunek.
Mamy także i inną książkę do czytania,
Od której człek zasypia błogo, bez wdychania.
Tylko często przeszkadza dzwonek sygnałowy,
A człek na jego odgłos musi być gotowy.
Ot i teraz znów dzwonią trzeba dać sygnały,
By panu maszyniście drogę wskazywały.
Lecz wnet wrócę pogadać, bo pan duszą słucha
A od tego wstępuję mi w serce otucha.“

I dobywszy z zanadru chorągwi zielonej
Podszedł bliżej ku relsom i stał pochylony,
A gdy lokomotywa pędem przeleciała,
Zmieniła mu się nagle twarz i posmutniała
I znowu zwilgotniała jego duża chusta,
Którą ścierał lzy krwawe i przyciskał usta.
„Zgądeście to dostali tę książkę przyjemną?
Zagadnałem go znowu, gdy stanął przedemną.“
„A to żona zaczęła raz gadać z wieczora,
Że gdy człek nie czyta to mu dusza chora...
Więc szkapę zaprząłem, włożyłem na furę
Jaj z pół kopy, kuraków, jedną starą kure,—
I Kasia pojechała z tem wszystkiem do miasta;
Na wieczór były książki już i trochę ciasta
Na święta wielkanocne, co były za pasem,
Więc nie trzeba tak było rachować się z czasem:
Kole domu zrobione, pociągów mniej chodzi,
I kupiona książeczka święta nam osłodzi.
Gdy żona po mszy świętej wróciła z kościoła,
Zagospodarowała wszyściutko do koła,
Zasiedliśmy przy stole i poszło czytanie.
Z początku źle rozumiał, mój łaskawy panie,

Teraz, zato, gdy tylko swoboda się zdarzy
Człowiek zaraz się garnie do elementarzy,
A czas mu milej schodzi niżli przy gorzałce;
Nie ma się pustek w głowie i pełno w kobiałce.“
Długo się rozwodził aż:—„Chodź tutaj, Tomku!“
Rozległ się głos kobiecej z przydrożnego domku.
A Tomek, jakby pocisk nagle wyrzucony,
Bez pożegnania pędem poleciał do żony.
Nie długo znów powrócił, był płakać gotowy,
Widocznie mu lektura wywietrzała z głowy.
—„Cóż to, panie Tomaszu, żona ostro trzyma?“
—„Boże! takiej kobiety w całym świecie niema!“
—„A powiedzcie, jakżeż to was złączył Bóg do-

[bry?“
—„Napłakaliśmy się przedtem, jakby jakie bobry.
Lecz powiem aktualnie jak się to odbyło:
U państwa Konewkowskich razem się służyło,
Kasia za pannę młodszą a ja za stangreta,
(Była czwórka eugowych, wolant i kareta).
Ześmy się pokochali państwo byli radzi,
Myśleliśmy, że w szczęściu nie nam nie zawadzi.
W całutkim Konewkowie było dobrze, cicho,
Zdawało się, że żadne nie zamąci liecho,
Że zrobim weselisko, huk gości się sprosili...
Lecz zawsze—człowiek strzela, a Bóg kule nosi.
Jak grom z jasnego nieba, wrócił dziedzic młody,
I odtąd w Konewkowie zmąciły się wody.
Zaczęły się hulanki, gry i pijatyki;
Błakali się po nocach, jakby lunatyki;
Żadna ładna dziewczucha tam się nie ostała.
Pani się tak zmartwiła, że zachorowała
I nie długo też zmarła, a za nią i stary;
Wtedy nie było w niczem ni liku, ni miary.

Rzucił później swe oczy paniczek na Kasię
I umizgał się długo, ale więcej... zasie!
Więc tak się rozkocucił, że wśród czarnej nocy
Rozkazał nas wyrzucić. Bez żadnej pomocy
Błakaliśmy się długo. Nie było świadectwa;
Któż mógł przyjąć do służby takie dwa kalestwa?
Wreszcieśmy się pobrali w ostatecznej nędzy,
Nie było już odzienia, ni grosza pieniędzy.
Szczęściem tu się dostałem—w bucie i w kamaszu,
A ona w jednym łachu.“

—„Chodźże, tu Tomaszu!“
Rozległ się znowu w domku głos zniecierpliwiony,
I Tomek też poleciał, jakby oparzony.

Tym razem dosyć długo zabawił w komnacie;
Wreszcie wyszedł zgnębiony, jak po ciężkiej stra-
Stanął automatycznie nad długą mogiłą, [cie,
A gdy pociąg przeleciał, ryknął całą siłą:
—„Ludziska, zlitujcie się!“ Podszedłem ku niemu
I spytałem: „Tomaszu, powiedzcież mi czemu
Tak bardzo rozpaczacie?“—„Bo mój syn jest chory
A tu w każdym pociągu pewnie są doktóry,
Coby mu święcie mogli uratować życie,
A razem i mnie także, i mojej kobiecie!“

Teraz, nareszcie przydać się tu na coś miałem:
Więc radośnie natychmiast głośno zawolałem:
—„Jestem także doktorem i pomogę może.“
—„Chrystusie Nazareński, miłosierny Boże!
Pan doktor zadrzy, widząc co się dzieje u mnie!
Syn mój już konający; córka leży w trumnie!“

Poszliśmy a on krzyczał:—„Ha, jest doktor, Ka-
[sia!
Co nam wnet wykuruje najdroższego Stasia!“

Smutny był bardzo wygląd tej schludnej ko-
[mnaty:
W trumience, przyodziana w białe jak śnieg szaty,
Spoczywała prześliczna trzyletnia dziecina;
W łóżeczku starszy chłopak, poaciecha jedyna
Tych nieszczęśliwych ludzi, dusił się okropnie,
A matka, klęcząc nad nim, bardzo nieroztropnie
Całowała go w usta.

Samo już chrapanie
Przemawiało za krupem, a bliższe badanie
Stwierdziło przypuszczenie; tylko operacja
Mogła życie ocalić.—„Tutaj desperacja—
Rzekłem—nie nie pomoże, a wszelka mitrega
Grozi śmiercią niechybną. Niech Tomasz zaprzęga
I jedzie do Karczówki, dam mu list do żony,
Zkąd przywiezie narzędzia i syn ocalony
Będzie.“ Tak też zrobiłem i Tomasz pojechał.
Chory tymczasem coraz chrapliwiej oddechał
Rzucił się niespokojnie, a twarz była sina.
—„Jakże się ta choroba zaczęła u syna?“
Zapytałem nieszczęściem zrozpaczoną matkę.
—„Splątało ich—mówiła—zupełnie jak w siatkę.

Jeszcze w niedzielę zdrowo latali po lesie.
W wieczór zgrzani wołali: „Mamo, pić nam chce[się].“

Więc przyniosłam z piwnicy zimniutkiego mleka,
Nie pomyślawszy wcale co mnie za to czeka!
Zaraz tejsamej nocy zakasłała córka,
Ale to tak coś dziwnie, jak szczenie Burka,
We wtorek ryki Stacha mi uszy rozdarły,
A u niej już na wieki oczęta się zwarły!
Panie, jakżeż rozkoszna to była istotka,
Ta moja najkochańsza, najdroższa stokrotka!
Od samiutkiego ranka, gdy zaświtał dzionek,
Zmawiała głośno pacierz, potem jak skowronek
Słodko pospiewywała; rosła ma pociecha,
Szczęściem była bogata moja biedna strzecha.
Teraz więcej już nigdy ja jej nie usłyszę,
A syn mój, wielki Boże! jak on ciężko dysze!
Coja się w tym odludnym borze nacierpiałam,
Zanim moim kochanym dzieciom życie dałam,
Tego niktby nie spisał na wołowej skórze.
A dziś, już nie mam syna, już po mojej córce!
Przyjdzie oboje ponieść na mogiłki szare
I rychło złożyć przy nich swoje kości stare!“

Tu z jej oczu strumieniem łzy się potoczyły,
Tak, że dalej wyrzekać już nie miała siły.
Była to jedna z tych dusz całkiem poświęconych
Szczęściu męża i dzieci; we łzach jej ronionych
Czuć było rozpacz taką, co nerwami targa:
Tak była przejmująca i straszną jej skarga.
Po niedługiej znów chwili dziecinę zbadawszy,
W sercu-m wiare rozbudzał w los lepszy, łaskawszy:
— „Niech pani nie rozpacza; trzeba mieć nadzieję,
Że syna uratuję, że znów zajaśnieje
Szczęście z boską pomocą. Strata to ogromna
I niepowetowana i wiecznie przytomna!
Mimo to nie należy tonąć tak w rozpacz.“

Pocieszałem jak mogłem, ale co to znaczy
Pociecha w takiej chwili? Noc już nadchodziła,
Więc z trudnością się zwlekła, lampę zapaliła,
A podszedłszy do trumny, łyżką z oczu starła
I cichutko spytała: — „Czy ona umarła?
Czy ona już, mój panie, naprawdę nie żyje?
Czy to serduszko w piersiach nigdy nie zabije?
Mnie się jeszcze wciąż zdaje, że ona tak drzemie?!
A ten chłopak się dusi, moje biedne plemię
Nie długo już zastygnie! O ja nieszczęśliwa,
Zostanę tu w tej chacie sama jedna żywa,
Będę się też włóczyła samotnie po borze,
A one śpiewać będą tam w aniołków chórze!“

Po długiej, jak dzień cały, godzinie czekania
Wreszcie Tomasz powrócił; wtedy bez zwlekania
Przystąpiłem do dzieła. Tracheotomię
Zrobiłem nie bez trudu, lecz zaraz przez szyję
Napływało powietrze do piersi obficie,
A w chorego wstąpiło jakby nowe życie.
Otworzył wnet oczęta, rozejrzał się wkoło,
A po czasie niedługim uśmiechnął wesoło
Do strapiionych rodziców. — „Teraz, dobrze będzie,
Rzekłem — niech Tomasz zaraz przy łóżeczku siedzie
I niech piórkami ostrożnie, od czasu do czasu,
Przetyka rurkę. Chłopak niech leży, do lasu
Go nie puszczać, przyjadę do was za dni parę...
Lecz teraz już nie pójdzie wasz syn na ofiarę
Śmierci; już go nie damy — ma już waszą córkę!
Gdy syn całkiem zdrow będzie, wyjmę mu tę rurkę.“

Noc była przecudowna, jasna, księżycowa,
Pogoda spokojniutka, prawdziwie czerwcową.
Rad, że mogłem ocalić życie człowiekowi,
Szybkim krokiem poszedłem przez bór ku domowi.
Gdym przyszedł willa była jasno oświetlona,
Syn całował mi ręce i witała żona.

Zastałem też i gości przyjezdnych z Warszawy,
Więc spędziliśmy wieczór wśród milej zabawy.

Już było dobrze późno, gdym znużony bardzo,
Snu zapragnął, snu, którym i króle nie gardzą.
Długo usnąć nie mogłem. Całodzienne sprawy
Snuły mi się przez głowę, a dziwne obawy
Wstrząsały mym umysłem. Wszak i ja mam syna —
Myślałem, — toć tym samym prawem i rodzina
Moja także podlega, co tego drożnika;
Wobec natury niema króla ni niżnika.

Hodie mihi cras tibi, nikt tu nie pomoże —
Chyba Ty, jeden tylko, miłosierny Boże!

Mimowolnie snuło się w myśli porównanie:
Jak zmiennem jest na świecie ludzkie powołanie, —
Jak znaczny dzieli przedział lekarza wziętego
Od takiego Tomasza, stróża drogowego.
A jednak on ma również swoje ideały,

Ma dobrą żonę, dziecko — swój tor i sygnały.
Wszak także jąda, sypia, nawet ducha krzepi,
Według jego opinii, dzieje mu się lepiej,
Niżeli wielu innym. Pewnie się nie myli;
Jego umysł na większe rzeczy się nie sili.
Toż na tem właśnie szczęście głównie się opiera,
Tylko, że to większością rządzi dziś chimera,
I dla tego na świecie szczęśliwych tak mało:
Chee się wciąż więcej zbierać, niżli się zasiało.
Biedacy, — nie ulega żadnej wątpliwości, —
Łatwiej niżli my znoszą najcięższe przykrości,
Ich zdaje się osłaniać jakaś grubsza skóra,
No, i — *consuetudo est altera natura!*

Psycho-socjologiczne w tym rodzaju sprawy
Zaburzały mi spokój aż do rannej kawy,
Przy której siedzieliśmy, jakby w trzynaścioro,
Chociaż nas razem było nie więcej niż czworo:
Moja żona, Francuzka, ja i Bolesławek,
Który, łyknawszy mleka i bułeczki skrawek,
Narzekał uporeczywie, że go boli głowa
I prócz skarg tych już nie chciał przemówić ni słowa.
Przecucie moje noce wkrótce się sprawdziło:
Przeniesienie zarazka syna mi zabiło.
Wieczorem dostał chłopiec bardzo silnych dreszczy,
A już w nocy dławił go ów kaszel złowieszczy,
Tak dobrze określony przez Tomasza żonę.

Ach, Boże! gdy dziś wspomnę te chwile minione,
W których tyle rozpacz i nadziei tyle
Było, muszę się dziwić tej nadludzkiej sile
Mojej najdroższej żony, że je przetrzymała —
Jeno ja posiwiąłem i ona zbieła!

Tydzień minął gdym znowu nad długą mogiłą
Znalazł się; wszystkiutko tu, tak jak dawniej było,
Te same drzewa, słupy, zboża, domki białe,
A tylko przed jednym z nich stało chłopię małe;
Szyjkę miał obwiązaną, chorągiewkę w dłoni
I czekał aż się pociąg zza boru wyłoni.

Poznałem w nim pacjenta. „Jak się masz,
[chłoptasiu]?”

Spytałem go podchodząc, — gdzie rodzice, Stasiu?
To ja ten doktor, co to... — „Był pan kolejowy —
Przerwał Staś — wyjął rurkę, teraz jestem zdrowy.“

Wkrótce też się zjawili wdzięczni Tomaszowie,
A rzuciwszy się do nóg: „Niechaj Bóg da zdrowie,
Wołali, — najlepszemu wybawcy naszemu
I drogiego nam Stasia. Lecz, dla Boga, czemu
Tak głowa posiwiała? czyżby ciężkie losy?“

— „Oh, nie, nie, moi ludzie, ja... farbuję włosy!“

Dnia 5 Czerwca 1892 r.

KRZYSZTOF KOLUMB

(Dalszy ciąg).

Podróże morskie Portugalczyków zwolna wy-
dobywały geografią średniowieczną z grzęzawisk
dzieciństwa. W miejsce urojenia wstępowała rze-
czywistość, bardzo jeszcze niedoskonała, lekliwa
na jednych, zuchwała znowu na innych punktach,
częstokroć niezdarna, ale już rzeczywistość. Od-
bija się ten postęp w wiedzy na kartach, rysowa-
nych już poważnie, jeżeli nie dokładnie. Nie są
to już dawne *imagines mundi*: mamy przed sobą
rzetelne już karty geograficzne, obrazy powier-
chni globu ziemskiego, dzieła pierwsze kroki sta-
wiającej umijętności. Od środka XIV w., od odk-
rycia wysp Azorskich i Kanaryjskich, dawnych
„*Insulae fortunatae*“, które zaginęły były w Wie-
kach Średnich, ciągnie się ta kartografia portu-
galska w szeregu coraz pełniejszych, coraz dokła-
dniejszych map i nawet małych atlasów. Potrze-
bowała ich sama żegluga dla praktycznych za-
dań handlu i posiadania politycznego. Rzecz pro-
sta, że tam, gdzie najwięcej uwijało się statków
portugalskich, najwięcej też dokazała myśl i ręka
portugalska. Cały zachód Europy i Afryki, Atlan-
tyk i jego lądy dopiero teraz przejawiać się za-
częły we właściwych postaciach. Afryka ma już

zadziwiająco dokładny zarys brzegów, przy wyl-
brzmionych tylko wypachach atlantyckich; Europa aż
do Belgii już niedaleko odbiega od prawdy; dalej
myśl już fantazyjuje — Baltyk ma formy idealne;
do półwyspu Skandynawskiego od zachodu przy-
tyka Grenlandya, oddzielona głęboką zatoką, po-
dobniejszą do samego półwyspu niż ląd noszący
na sobie napisy „*Suecia*“ i „*Norwegia*.“; Wło-
chy zanadto ku południo-wschodowi wyciągnięte.

Na mapie morskiej, wykonanej już po odkryciu
Brazylji, w samym początku XVI w., za Litwą
rozięga się zaraz państwo Amazonek, za nią
Tartaria, dalej za górami „*Serica*“ rzymska,
Chiny, Scythia ponad Himalaję (Imaus) i krainy
„*Cathaya*“, „*Mangi*“, „*India superior*“, odpowia-
dające Mandżurji, Chinom północnym z Pekinem
i Państwu Środka. Ląd azjatycki w tej stronie roz-
ciąga się aż 260-go południka od Ferro, podczas
gdy w rzeczywistości kraniec jego głównego trzo-
nu w Chinach przypada na 140° Ferro. Taką
rozięgłość przyjmuje również i twórca pierwsze-
go globusa wyobrażającego kulę ziemską (r.
1492), norymberczyk, Marcin Behaim, umysł po-
ważny, przez długoletni pobyt w Portugalii i obeo-
wanie z podróżnikami i marynarzami wykształ-
cony.

Cała ta Azya wschodnia była tedy znowu ba-
jeczna, zmyślona, ale w inny już, lepszy sposób,
niż średniowieczna. Portugalczycy odpowiadali
tylko za to, co sami poznali; za daleki Wschód od-
powiedzialność spada na Włochów, głównie na
Marka Polo, którego nomenklaturę słowo w słowo
znaleźć można na wszystkich mapach wschodu
azyatyckiego w XV i jeszcze XVI wieku. Wydlu-
żanie Azji w kierunku wschodnim, ku Europie,
było faktem powszechnym w umysłowości jeszcze
starożytnej. Ścieśniając nadzwyczaj strefę mie-
szkalną z północy na południe, rozszerzano ją
znowu nadmiernie ze wschodu na zachód. Pano-
wał najpierw stosunek 1 do 2, później 2 do 3;
Arystoteles przyjmował 3 do 5 (33.333%, stady-
ów szerokości i 55.555%, stadyów długości);
Ptolemeusz trzymał się tradycji; Arabowie (Ibn
Said) jeszcze w XIII w. mieścili pomorze chiń-
skie na 160° F. Poezja sama wpajała mniemanie,
że odległość między Azją a Europą przez Atlan-
tyk jest tak mała, iż ją w krótkim niezmierznie
czasie przebyć można. I Arystoteles również
przyjmował za pewnik takie wymiary Atlan-
tyku — a on przecież tylko oddzielał Azję
od Europy! — przy których rozięgłość oceanu od
wschodu na zachód nie mogła być większą od
połowy rozięgłości starego lądu. W pojęciach
Toscanellogo, równie jak i jego poprzednika, Fran-
cuza Piotra d'Ailly, z Europy do Azji przez Ocean
Atlantycki nie było więcej nad 130 stopni. Japo-
nia (Zipangu) jeszcze u późniejszego znacznie
Behaima leży pod 280° stopniem długości wscho-
dniej, zatem tylko o 90 stopni mniejszych od
zwrotnikowych, od Europy. Geograf włoski ozna-
czał odległość na 1.625 leguas, co dawałoby, przy
największym wymiarze mili włoskiej, zaledwie mil
500, o jakie 150 mil od rzeczywistej długości drogi
do Ameryki ze stałego lądu europejskiego.

Jak wiemy, mapa Toscanellogo dostała się Ko-
lumbowi. Ona - to bezpośrednio wpłynęła na
ukształtowanie się jego pojęć geograficznych, na
wytworzenie się w nim tej odwagi i energii po-
dróźniczej, bez której postanowienie dotarcia do
Azji w umyśle powstać-by nie mogło. Łaz Casas,
wielbiciel swego Colona, sławiący jego geniusz
i enotę, jest przecież dość trzeźwym na przyznanie,
że całe przedsięwzięcie, które doprowadziło do
odkrycia Ameryki, opiera się na mapie Toscanelle-
go. Odnajdujemy ją w globusie Behaima. Mając
przed sobą tak wązki Ocean, a na nim jedynie
tylko wyspy, jedne prawdziwe, z którymi stale
utrzymywano stosunki, nadzwyczaj daleko na zachód
wysunięte, inne, bajeczne, albo widziane
zawsze tylko we mgłach dalekich przez jakieś
oczy niepochwytnie, albo też otrzymane w darze
od Wieków Średnich — mógł już Kolumb bronić
swego pomysłu ze stanowiska rozsądku pozwalają-
cego na domniemanie powodzenia. Gdy wyspy
Azorskie leżały pod 20 stopniem długości zachod-
niej, gdy Teneriffa kanaryjska odległa była o 10
stopni od południka Ferro, gdy za nią o 30 stopni
dalej, na zwrotniku Raka, imaginacja mieściła

wyspę Antilią, a poniżej na równiku, w tejsamej prawie odległości południkowej, wyspę Sant Brandans, odkrytą jakoby przez Irlandczyków jeszcze w VI w. po Chrystusie; gdy z obu wysp tak uroczym przed umysłem podróżnika rysujących się, do owej wyspy Cipangu, oddzielonej już tylko kilku stopniami oceanu od stałego lądu azjatyckiego, było zaledwie 400 mil zwrotnikowych—myśl przedostania się do Azji nie była chimera, z którejby zdrowy rozsądek natrząsać się musiał. I sam podróżnik mógł bez rzucania się na oślep w otchłań niebezpieczeństw i nieprawdopodobieństw, powziąć swoje postanowienie, i ludzie, od którychby urzeczywistnienie jego zamiaru zależało, nie potrzebowali uważać go za śmieszny, bo w najszcześniejszych nawet warunkach, niewykonalny.

Po śmierci Henryka Żeglarza (1460 r.) zapanowała w Portugalii cisza na polu podróży i odkryć morskich. Alfons V nie był umysłem o szerszym widnokręgu; dopiero, gdy w r. 1481 umarł, zostawiając tron Janowi II, zaczęło się nanowo żeglarsstwo portugalskie ożywiać. Głównie poszukiwano bogactw naturalnych, a raz już wdawszy się w odkrycia i podboje afrykańskie, dalej już w tym kierunku, na południe, wytyczano myśli i siły. Wiemy jak świetne wyniki uwieńczyły tę wytrwałość. Podróż naokoło Afryki i dotarcie do Indyi, częściami w nich usadowienie się, zawiązanie stosunków cywilizacyjnych i ustalenie handlowych, pierwsze rzeczywiście już, nie na wzór fenickich i greckich perypłów, opłynięcie ziemi—choć skromniej w imaginacjach naszych rysują się niż odkrycie Ameryki, większą przecież miały doniosłość współczesną, więcej pożytku ludzkości przyniosły, mniej wyrządziły jej krzywdy. Podróż na Zachód, dla dostania się do Azji, nie miała dla Portugalczyków nie pojętego. Trzeźwość ich wszakże nie przekroczyła granic, w jakich zamykać się musiała rzetelna, na rozsądku oparta energia. Na własne natechnienie wprowadzić się nie zdobyli, ale myśli poddanej z zewnątrz przez Genuńczyka nie odrzucił wręcz, jako niepraktycznej. Nie była ona też weale tak zuchwałą, aby ją przeźorna mądrość odrzucać potrzebowała. Jeżeli przecież wyprawa do Ameryki pod Kolumbem nie wyruszyła już z Portugalii—stało się to z winy samego Kolumba.

Genuńczyk zapalił się do podróży jeszcze za panowania Alfonsa V. Gdy nastał nowy król, energiczniejszy od poprzednika, stosunki pozwoliły wpływowemu już człowiekowi wystąpić z planem wyprawy. Stać się to mogło już w r. 1481, ale oziębłość tak opóźniła postanowienie dworu, że dopiero w r. 1483 król wyznaczył umyślną kommissją do zbadania projektu. Opierając się na Marku Polo, na liście Toscanellogo z r. 1474 dla dworu portugalskiego napisanym, i na własnej swej korespondencji z uczonym włoskim, o pięć lat późniejszej, obiecywał Kolumb Portugalczykom złote góry, całe pokłady drogich kamieni, śpiewające syreny, ptaki precudne, ryby latające, złołuskie, drzewa i korzenie, o jakich Europa wyobrażenia nawet nie ma; zapewniał, że u wielkiego chana, którego umieszczono w Chinach (wskutek podboju Kubilaja, współczesnego Polom), znajdują wszelką pomoc i będą z nim mogli zawiązać stałe stosunki. Kommissarze uznali projekt za niewykonalny i zalecili królowi odrzucenie. Jan II-gi zrazu poszedł za ich zdaniem, ale później namyślił i zawiązał nowe rokowania. Byłyby one już doprowadziły Kolumba do pożądanego celu, gdyby charakter jego stał był na wysokości wyobraźni, odwagi i energii.

Kiedy już wszystko ułożono i król zobowiązał się dać trzy statki i żywność na rok cały, wystąpił Kolumb z żądaniami osobistymi, które sięgnęły ponad możność królewską, na przedsięwzięciu wycisnęły wstrętne piętno nieprzyzwoitej chciwości, obudziły nieufność, niechęć i sprowadziły ostatecznie rozbięcie się projektu. Kolumb zażądał dla siebie wzamian za dopłynięcie do Azji przez Atlantyk, najpierw: szlachectwa dziedzicznego dla całej rodziny, dalej tytułu „admirala mórz świata“, dalej godności vice-króla i władzy na miestnika królewskiego na wszelkich lądach, jakiego mógł odkryć; dalej jeszcze dziesięć z wszelkich bogactw naturalnych i wszelkich zysków handlowych,—a jak by to wszystko jeszcze

nie wystarczało, — domagał się monopolu, któryby mu nadał prawo uczestniczenia we wszelkich przedsiębiorstwach handlowych w jednej ósmej wartości ładunków. Na takie żądania jedna tylko była odpowiedź: odrzucenie całego planu; taką też dał Jan II Kolumbowi. Stać się to mogło w r. 1484.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Głińskiego.

(Dalszy ciąg).

— A po co pani było mieszać szambelana? — odezwała się po chwili Florentyna.

— Ot tak jakoś niechęć wyrwało się, duszo moja! Ale czy ja się mogłam spodziewać?

— Wszystkiego trzeba spodziewać się po kobietach, i dlatego mówiłam wciąż, żeby bez pana szambelana w tak ważnej materii nie nie poczynić.

— Ale — Dyzio jej nie nie obchodzi! — załkała pani Tirard. — Czy to być może?!

— Kto to pani powiedział?

— Niby sama Zosia...

Florentyna wzruszyła lekko ramionami.

— Duszo złota — pociesz!

— Czy pani myślisz, że kobiety tak zaraz wywnętrzają się! — rzekła towarzyszka pani Tirard, stając przed nią. — Któż to z nas nie stroiła fochów, przed zamążpójściem, na przykład?

— To prawda, duszo moja. Ja swemu Stefanowi dwa razy dawałam odkosza, a powiem ci szczerze, że gdyby mnie był wtedy porzucił, umarłabym z rozpaczy.

— Ja Filidorowi nieraz po ślubie mówiłam, że nieboszyk Prokop był lepszy od niego, choć że tak nie było, to nie!

— Cóż ty sądzisz, duszo moja?

— Ja nic nie sądzę.

— Cóż ja mam donieść Dyziowi?

— Nie nie donosić...

— Duszo złota! ty mnie taką radą zabijasz!

— Mojem zdaniem: wracać do Brzezina.

Pani Tirard skoczyła.

— Nie może to być, moja duszo złota!

— Zaraz, zaraz! niech pani uspokoi się i rozważ moje racje.

Ernestyna usiadła napowrót.

— Mów, bo ja okropnie zderutowana!

Florentyna ciągnęła dalej.

— Wracać, po pierwsze: dlatego, że same rady nie damy; po drugie, że droga się psuje i śnieg topnieje w oczach, a kilkanaście mil pociągnąć karetę na saniach, to nie wiem jak to będzie: po trzecie, że pani, będąc „zderutowana“ w żaden sposób na drogę właściwą natrafić nie możesz i — po czwarte, że dowiedziałyśmy się o tem, o czem miałyśmy się dowiedzieć.

— I cożemy się dowiedziały? — zajęczała pani Ernestyna. — Przecie Dyziowi nie można powiedzieć, że on nie Zosi nie obchodzi!

— Nie można mówić tego, czego same dokładnie nie wiemy i co w żaden a żaden sposób być nie może.

— Duszo złota — odezwała się nieśmiało pani Ernestyna. — Czy ty czasem o nic nie posądzasz tego Korabieca?

— Pani! — głosem reflexyji zawołała Florentyna.

— Pocieszaj, duszo moja — pocieszaj.

— Gdyby pani Zofia koniecznie już kochać miała, to przecież jest pan Dyonizy.

— Dyzio! to prawda, ale dlaczego ona tak odezwała się o Dyziu?

— To, co powiedziane zostało pani, niekoniecznie powiedziane-by było panu szambelanowi. Tajemnica, moja droga pani, ma dla nas niewystawiony urok, a pani odrazu chciała wszystko na stół wyłożyć. Kobiety, droga moja pani, są przebiegłe i umieją się drożyć... Oj, oj!

Pani Ernestyna uspakajać się zaczęła.

Uspokoila się jeszcze bardziej, gdy Zosia, chcąc wynagrodzić wyrządzoną przykrość, żadnem ubocznem słówkiem nie dotknęła już szambelana. Prawda, że poziom marzeń pani Ernestyny obniżył się znacznie, lecz winę przypisywała sobie. Może nawet lepiej, że tak, a nie inaczej się stało. Ostrożność nigdy nie wadzi. Dość na teraz, że zastała Zosię spokojną zupełnie. To wiele! Dyzio będzie wiedział, co nadal uczynić mu wypadnie.

Nazajutrz obie panie wyjechały.

Śnieg topniał; zpod białego całunu tu i tam pokazywały się kawałki czarnej ziemi; ze wzgórz płynęły wartkie potoki i, albo żłobiły sobie przejście w zbitej masie śniegu, albo w duże rozlewały się jeziora. Słońce, jakby ziemi wynagrodzić chciało długą a ostrą zimę, pełnemi garściami rzucało jasne, ciepłe promienie i wysysało z jej piersi chłód i wilgoć. Niebo było czyste, błękitne, przepelnione piosnkami skowronków, z dolin unosiła się mgła biała, klucz żurawi nawet przeciągnął przez lazury — leciał wysoko, widać, że i w górnych warstwach powietrza ciepły wiał oddech zbliżającej się wiosny.

Droga do Brzezina, przechylając się na bok, to, jak łódź przeskakując wzburzone fale, zapadając w wyboje i znów się podnosząc na wały śniegowe, sunęła karetą, z której co chwila wylatywały krzyki jadących kobiet. Konie zapadały w przesiekłym wodą śniegu; w niektórych miejscowościach lokaj musiał powstrzymać powóz, chroniąc go od wywrotu; sanie wrzynały się w grunt twardy, a szerokie skrzydła karety zgarniały masy błota.

Dobiegał piąty dzień uciążliwej podróży, zanim na widnokręgu zarysował się pałac brzeziński.

Im bliżej było do Brzezina, tem większy niepokój ogarniał panią Ernestynę. Nie wiedziała sama: czy dobrze z poselstwa się wywiązała; czy za prędkiej jej powrót — jakkolwiek tłumaczyć się mogła wielkimi roztopami i gwałtownym psuciem się dróg, mile przez Dyzią widzianą będzie?

Ale co mogła, dłuższą jej bytność u Zosi lepszego przynieść?

Miała zlecenie, ażeby panią Skalską namówić do zamieszkania na czas pewien w Brzezynie; wspomniła o tem zaraz po pierwszym z nią przywitaniu się i wyniosła przekonanie, że Zosia może na to się zgodzić, zgodzi się nawet na pewno, tylko czeka osobistej wizyty i zaprosin szambelana. W tem mniemaniu utrzymywała ją i Florentyna, która podczas podróży starała się rozpraszać wszelkie obawy swej towarzyszki i choć spokojniej od niej rzecz traktowała, widziała jednak wszystko w barwach daleko bardziej różowych, niż chwycająca się ciągle pani Tirard.

Ach! ta Florentyna, jakież to skarb nieoceniony! Biedny umysł Ernestyny rozbiłby się dawno o tysiąc sprzeczności, gdyby bez tej poważnej podpory kuzyna pana Dyonizego sama stanęła przed nim — rozplynęłaby się w łzach i zawołała rozpacznie:

— Denis, Denis — *je suis tout-à-fait deroutée.*

W miarę jednak zbliżania się do Brzezina, pomimo uspakajania Florentyny, niepokój wzrastał. Dręczyła Ernestynę myśl, że, choć może nie wszystko według życzeń ukochanego Dyzia poszło, on słówkiem najmniejszym swojego niezadowolnienia nie zdradzi i pozwoli jej się zamęczyć srogiemi przypuszczeniami. Drażliwość pod tym względem natury pani Ernestyny graniczyła z dziwactwem, i ciągle do wyrzucenia sobie miała tysiąc przewinień, o których szambelanowi nie śniło się nawet. Nieraz pani Ernestyna pod wrażeniem jakiejś urojonej przykrości szambelanowi wyrządzonej nie spała noc całą i na dzień drugi nieśmiała, zleknie na stawała przed nim. Pirski z największą tkliwością rozpytywał ją o powód zwartwienia, przynosił maczki, badał, i tem pełnem czułości postępowaniem doprowadzał ją do extazy, do słów peł-

nych zachwyty, jakiemi obdarzała najlepszego z najlepszych kuzynków.

Pirski rzeczywiście kochał Ernestynę, a kochał dlatego, że była mu potrzebna jako ochmistryni jego dworu, w danym wypadku *garde-malade*, prawdziwa siostra miłosierdzia, która dla szczęścia Dyzia nie wahałaby się żywcem dać spać.

Szambelena nie zabolala głowa o nic—o wszystko się troszczyła Ernestyna. On był jej ostatnią miłością, rozumem jej i sumieniem. Wiedziała doskonale, dla jakich celów rzucił Zygmunt w objęcia Natalii—potępiła więc stanowczo—Zygmunta, na Dyziu żadnej nie dopatrując skazy. Przecie z Zosią nastąpi ślub prawy—innej myśli nie przypuszczała w swej gołębiej naiwności.

O ile skłonna była (za obrębem szambelana tylko) do łatwo wysnuwanych podejrzeń, o tyle szybko rozstawała się z niemi. Dziś jednakże ze złą jakąś myślą nie mogła się rozstać. Uspakajana przez Florentynę, nie mówiła jej nic o tem, dziękowała „duszy złotej“ za słowa pociechy i ukojen; ale, jak mara natrętna, stawał jej wciąż przed oczyma Korabicz, który ją zmusił do wiadomego pytania rzuconego Zosi, a tę ostatnią do piorunującej odpowiedzi. Bądź co bądź, Zosia takiej odpowiedzi dawać nie była powinna; rzecz chodząca o Dyzia!

Z trwogą więc patrzyła na rosnący wciąż na widnokręgu pałac brzeziński.

Rezydenca szambelana od chwili wyjazdu Zygmunta zaczęła przybierać na się jakiś pozór odświętny. Prawe skrzydło pałacu odnowiano pośpiesznie; jedwabie i adamaszki pokryły ściany, puszyste kobierce na śkliniących rozestano posadzkach. Najprzedniejsze meble z całego pałacu, najpiękniejsze kwiaty z cieplarni, zapelnily apartamenty prawego skrzydła. Jeden szczególnie pokoił zwać-by się mógł cackiem prawdziwym. Dwa prześliczne amorki z białego jak śnieg marmuru podtrzymywały kryształowej czystości zwierciadło o pięknych lekkich ramach zmatowanego złota; z różowych koronek zasłony chwiały się u okien i drzwi; na ścianach girlandy róż białych płątały się na tle blade-różowego marmuru, który, oświetlony promieniami wschodzącego słońca, czynił wrażenie jakiegoś rozkosznego ciepła. Wszystkie sprzęty obite były białą, miękką jedwabną materją; prosić się zdawały same, by spocząć na nich i usnąć — a sny będą czarownie piękne, złote marzenia ukołyszą serce na tych puchach edredonowych. Białe tło obicia nie było nieskazitelnie czyste: tam motyl za motylem pognał—uciekający błękitne, gonący złote miał skrzydła; tu na gałązce urwanej jaśminu z pstrami jajkami ptaszak osiadł gniazdo słowicze; tam wykwiła piękny kwiat róży, a motyl srebrzysty z wonnego jej kielicha słodki nektar wysysa. Nad sennym jeziorem, przy blaskach zachodzącego słońca chwieją się ważki na kryształowych skrzydłach swoich; nad brzegiem pasterz z pasterką czynią sobie jakieś miłosne zwierzenia. Cóż mówić o niskich taborecikach w kształcie poduszek, o misternych wachlarzach, tu i tam na ściany rzuconych, i pięknej wiszącej lampie, której światło, w różowy kielich ujęte, łagodny, ciepły blask rzucało dokoła? W głębi ściana zakryta faldzistą, białą kotarą, za nią miękkie, ciche gniazdko dla ptaszka, który ma w tem prawem skrzydło pałacu zamieszkać.

Wiedział cały Brzezin, że do szambelana na czas pewien ma przybyć pani Zofia Skalska. Nie dziwiło to nikogo: przecie Pirski był pana Zygmunta wujem.

Tak! szambelan odnawiał pałac dla Zosi. O przybyciu jej nie wątpił—resztę pozostawiał czasowi. Plan Pirskiego polegał na tem, aby Zosia oswoiła się z myślą, że przez Zygmunta nazawsze już opuszczoną została. Przedzaj czy później nastąpić to musi. Ale zanadto był rozumny, ażeby mógł sądzić, że wdziękami swojemi podbije jej serce—tego dokonać powinien przepych, jakim ją w pałacu brzezińskim otoczy. Pirski wierzył w potęgę złota, doświadczył jej nieraz. Łamiał się przed nią twarde mężczyznkarki, a co dopiero niewieście serca, tak wrażliwe na blask wszelki! Nie pominął więc niczego, coby mogło na nerwy i zmysły oddziaływać. Podobna taktyka nie zawodziła go dotąd.

Wyjazd zagranicę Zygmunta, oczarowanego wdziękami Natalii, uważał szambelan za pierwszą zwycięzką batalią. Wyprawa Ernestyny miała głównie na celu zawiadomienie o tem Zosi. Tej ważnej misji nie rad był Pirski nikomu powierzać, sam chciał jechać, ale na przeszkodzie stanęła mu niespodziewana choroba.

Przebiegł się i dostał latającego reumatyzmu.

By nie przerazić pani Tirard, nie wspominał jej nie o tem; wysłał ją tylko natychmiast do Ogarów w towarzystwie nieodstępnej Florentyny—rozkazując, by kozaków rozstawiono po drodze, dla szybszej komunikacji.

Na dzień trzeci po wyjeździe Ernestyny słońce zaczęło topić śniegi. Ta nagła zmiana, raptowne przejście z dobrej zimy do ciepłej wiosny—nie-dobrze oddziaływało na zdrowie Pirskiego. Zażywanie maczków nie na wiele się zdało, elektryczne płyny Matejego, pożądanego nie przynosiły skutku—zirytowany szambelan, za radą Kucejwy, udał się do owezara: pił zioła, okadzał się, we wszystkich kieszeniach ubrania kasztany nosił; lecz gdy i to nie pomagało, rad nie rad i wbrew swemu przekonaniu, udał się po radę do—allopaty.

Brzezin, jako fortuna, stanowił lwią część ogromnych dóbr szambelana, jako miasteczko, lichy był niezmiernie. Zamieszkiwała go przeważnie ubogaludność żydowska, prowadząca swój drobny handelek, który mógł zaledwie zaopatrywać życie na dzisiaj; najgłówniejszymi mieszkańcami miasteczka byli: ksiądz proboszcz, aptekarz i niedawno przybyły doktor Antoni. Sprowadził go proboszcz, chcąc ludność miejską i wiejską ochronić od lekarskich praktyk aptekarza. Łudził się starowi-na, że jakąś zapomogę od szambelana wyprosi, ale Pirski, nienawidzący allopatów, słysząc o tem nie chciał, i nie tylko, że proszonych przez księdza drzew na opał wydawać zakazał, ale głośno wypowiadał zdania, które odstręczały, i tak nie zbyt wielką ufność w medycynie pokładające—umysły.

Młody doktor znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Jednego tylko miał pacyenta, a był nim—ksiądz proboszcz, który, pomimo swych lat podeszłych—chorować wcale nie myślał.

Ale co było robić?

Pan Antoni przyjechał na słowo księdza, że praktyka się znajdzie i klientela łatwo się rozszerzy—a tu tymczasem cały dwór brzeziński, idąc za przykładem pana, hołdował elektrycznym płynom; aptekarz zaś, mając w Pirskim poparcie, wszelkimi sposobami psuł przybyszowi reputację, choć sam, zamiast mikroskopijnych maczków, obdarzał pacyentów swoich pigułkami wielkości laskowego orzecha; nie pozostawało nie księdzu proboszczowi, jak w pewnych odstępach czasu zapadać na zdrowiu i wzywać z poradą pana Antoniego. Młody doktor zrozumiał w czem rzecz, żadnego więc wynagrodzenia brać nie chciał od księdza, ale proboszcz się nadał, mówiąc, że nieczyjej łaski nie potrzebuje i woli umrzeć, niż korzystać z bezpłatnej fatygi lekarskiej.

Pomimo jednak tak niefortunnie rozpoczętej praktyki, pan Antoni nie wątpił o przyszłości—poskutkowała też i namowa księdza. Po radę lekarską przybyli nasamprzód żydzi. Młody esku-lap wymagającym nie był—a że idealnie na świat się zapatrywał i za cel swojego życia wziął filantropią—naznaczył od przyjęć u siebie groszy dzie-sięć, zaś gdyby wezwany został do kogoś—dwadzieścia groszy. Te dwadzieścia groszy zmniejszyły liczbę przyjęć doktorskich. Wezwany do jednego żydowskiego domu, musiał udzielać rad całej rodzinie. Każdy, kto miał jaką dolegliwość, a był choć najdalszym węzłem z rodziną połączony—przybywał o naznaczonej godzinie do domu nawiedzonego przez doktora i za opłatą dwudziestu groszy pozwalał się wysłuchiwać i opukiwać, co nieraz pół dnia czasu panu Antoniemu zabierało.

Jednakże poglądy na ludzką zszarzały, młody doktor, którego pierwszą samodzielną praktyką była w Brzezynie—podniósł honorarya do złotych dwóch i rozbrat wziął stanowczy z rodziną.

Podniósł się gwałt. Klientela zaczęła odpadać, ksiądz proboszcz, który do zdrowia przychodzić zaczynał w miarę zwiększania się praktyki pana

Antoniego—zastękać znów musiał i wezwać do siebie doktora.

Prawdopodobnie, że skończyłoby się na opuszczeniu przez doktora Brzezina, gdyby nie wypadek, którą pewną otuchą natchnął pana Antoniego.

Pierwszego dnia wiosny, który odrazu niemal zalał całą mieścinę potokami błota, pan Antoni siedział na ganku swojego domostwa, rozmyślając o marności tego świata. Od tygodnia prawie nie widział już żadnego chorego, parę razy tylko księdzu przepisał proszki sodowe (bo ksiądz proboszcz recepty zawsze wymagał, ażeby miał za co płacić) i raz jeden wezwany był do rodziny, lecz z pół drogi się wrócił, zobaczywszy przed domem chorego tłoczącego się dwupokoleniowy tłum spowinowaconych. Zrozumiał, że terroryzmem chcia-no go zmusić do ustępstw—postanowił więc podjąć rękawicę i wysłał usługującego chłopaka z zapytaniem: kto chory i z wyraźnym wymienieniem dwóch złotych od osoby.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWINY PARYŻKIE.

Dnia 1 Lipca 1892 r.

Emigracye letnie Paryżanów. — Resursa *extra muros*. — Pańszczyzna gościnności modnej. — Wystawa Stowarzyszenia Narodowego Sztuk Pięknych na Polu Marsowem. — Pierwszy rzut oka na ten przypływ morza malarstwa. — Geneza tej wystawy. — Wrażenia. — Niektórzy z artystów: Donat, Stevens, Sargent, Hillen. — Malarze dekoracyi. — Symboliści. — Portreciści: Carolus Duran i spółka. — *Plenerzyści*. — Konkluzya. — Pani Magdalena Lemaire. — Zaślubiny panny Bielińskiej. — Drumont. — Nowa faza antysemityzmu. — Surowy wyrok sądu. — Krwawe zajścia. — Śmiertelny pojedynek. — Wybory w Akademii Francuskiej. — P. Lavissee. — Nowa doktorka prawa, panna Chauvin. — Nowa książka: *Les possédés de la Morphine*.

Jak się to dzieje coraz częściej w tej porze, gdy już *Grand prix* na wyścigach konnych zostanie się szczęśliwemu właścicielowi zwycięzkiego rumaka, jest to jakby umówiony sygnał, po którym Paryżanie śpieszą opuścić stolicę, uważaną odąd jako wyludnione miasteczko z powodu epidemii nudów.

Tyle więc tylko czasu, ile potrzeba do zamknięcia wypakowanych kufrów — i uspokojenia podrażnionych nerwów niespodzianem zwycięstwem Rueila — koń, zwycięzca tegorocznych wyścigów, — i wszystko co ma jakieś znaczenie, czy nazwisko w Paryżu wyjedzie i rozproszy się, po tak zwanych „zamkach“ (*chateaux*), dworach, dworkach, willach, stacyach kąpielowych w Bretanii albo Normandii, których śliczne wybrzeża zostaną zapechane, chciwie poszukującami świeżego powietrza, mieszcuchami.

Jest to więc niezaprzeczonem niby pewni-kiem, że cały Paryż wyemigrował, szukając świeżego powietrza i czystej wody; ale tylko *niby!*.. bo w rzeczywistości, ta garstka emigrujących mieszcuchów—to tylko mała cząstka tych prawie już 3.000.000 niewolników, zaprzężonych do paryżkich tacek. Dla nich-to więc, dla tej garsteczki, otwierają się naoścież gościnne wrota starych i nowych zameczysk, gdzie gościnne kasztelanki umieją się tak urządzać, aby zatrzymać, uwięzić tę wymyślną zgraję emigrantów, gotowych zawsze pierzeć na placu i lecieć tam, gdzie weselej i wygodniej. To też niema takiej przy-nęty, którejby nie użyły owe czarodziejki dla przytrzymania zaproszonych gości, darząc ich wszystkim tem, cokolwiek dać może sam Paryż.

A jest to zadanie nie małe i prawdziwa pańszczyzna dla tych, którzy podejmują tę sprawę gościnności. Wielu z nich, jestem pewien, przeklina w duszy, ale ponieważ to moda, — leż więc, bracie czy siostrzo, w to jarzmo i udawaj, że ci to sprawia rozkosz, zastawiaj stoły, urządź zabawy,

zostawiaj wszelką wolność swym gościom, którzy, nieчем nie nasyceni, zapłacą ci zdawkową monetą obmowy i krytyki! Ale tak chce dobry ton — tak chce moda, a zatem — dalejże z miasta — choć w tem mieście lepiej, wygodniej się żyje, niż w najwygodniej urządzonej zamku czy dworze.

My, których nie jeszcze dotąd nie wabi za miasto, korzystajmy ze sposobności i pustkowi, aby zaprowadzić czytelników na tę drugą część artystycznej wystawy, której część pierwszą przelotnie w ostatnim zwiedziliśmy liście.

Wystawa tak zwanego „Stowarzyszenia Narodowego Sztuk Pięknych“ na Polu Marsowem upada, niestety, pod ciężarem zbytnej uprzejmości; przyjmując wszystko, nie wyłączając niczego i nikogo, stała się ona przytulkiem uposiedzenia i miernoty. Człowiek, wchodząc do tego zaczerpniętego palacu pozostałości z ostatniej międzynarodowej wystawy — pyta się teraz siebie: Czy to jest gruba i niesmaczna mistyfikacja? Czy też gonienie na seryo?

Dziś, kiedy tu malarze mnożą się jak grzyby po deszczu, napelniając każdego zdziwieniem i przestrachem — dziś, kiedy nikt nie jest wstanie uniknąć tej zarazy — otworzyć drzwi wystawy, wychodząc z tego założenia, że wejście wolne każdemu i wszystkim — jest to rzucić się w wodę z kamieniem u szyi...

Nie, zaiste! Zbyt już wiele geniuszów. Trudno się zorientować wśród tego nawału talentów. Pozostaje kwestya ważna, nieunikniona: jaka jest przyszłość tych ludzi? Jaki to gmach w Paryżu, jaki pałac rządowy, jaki skład, magazyn, doki — i jaka w ostateczności Ameryka — będą dość obszernie, aby objąć i pomieścić w sobie ten nawał malowanych płócien — i dać, zapewnić ich fabrykantom, jeśli nie wynagrodzenie dostateczne, to przynajmniej — zwrot wydatków!

Pod wpływem obrazonej miłości własnej Meissonier'a i gorliwych zabiegów pani Magdaleny Lemaire, znakomitej artystki i nieźrównanej malarki owoców i kwiatów, dwa lata temu spełniło się odszczepieństwo w Stowarzyszeniu Artystów Francuzkich, i powstało nowe „Towarzystwo Narodowe Sztuk Pięknych“. Zdałoby się, że brakło nam artystycznych wystaw — i że utworzenie nowego stowarzyszenia było niezbędnem. Należało przerzedzić ten tłum niewolniczy z Pól Elijskich.

Prez z medalami! — był to pierwszy okrzyk i pierwsze hasło opponentów — równość dla wszystkich, prócz kilku głów już uwiecznionych i piersi osypanych medalami. Osobne miejsce dla mistrza, który, niestety, umarł, nim się wielkie spełniło dzieło... Jego spadkobiercy prowadzą dalej rozpoczęte trudy — i niema dobrej racji, aby to rozdwojenie artystycznej rodziny ustało tak prędko: przeszkadza temu — miłość własna kilku głównych przewodzców i interes całego klanu niedolegów!

Aby się o tem przekonać, dość jest zwiedzić pałac sztuk pięknych na Polu Marsowem. Wrażenie, jakie odbiera za wejściem ciekawy przychodzący w tych ogromnych salonach, jest przykre. Patrzy się na ten nawał *plenerzystów*, *impreyjonistów* i niedouczonej bazgraczy, jak na żarty i kpiny, zebrane w kupę, jak na wzorki smutnego rozprzeżenia wszelkich tradycji tego, cośmy dotąd uważali za modę i wzór prawdziwej sztuki.

I rzeczywiście, w miarę, jak się posuwam naprzód wśród tych wielkich salonów, w których się mieszcza, piętrząc się jedne na drugich, rzeczy niewysłowione, zwane obrazami, uczucie wstępu się wzmacnia, rośnie i przechodzi w prawdziwą wściekłość. Człowiek pyta się: czy to zła wiara, czy to głupota? Czyż podobna, aby w tej Francji, słynącej ze swego smaku, po tylu wiekach pracy produkcji artystycznej, panowało takie smarowanie płócien — żółto-gorącym, siny, czerwonym, i wszelkiej barwy, surowym kolorem bez cienia, bez modelowania, bez żadnego z tych artystycznych środków, któremi starano się dotąd sprawiać złudzenie wzroku i zbliżyć się najściślej do samej natury? Czyż podobna, aby te bazgranine uważane być mogły za dzieła sztuki, za owoce prawdziwej umiejętności malarskiej?

Gdzie spojrzysz — morze, niebo, rozległe łąki, lasy, tak przynajmniej opiewa katalog. Wszyst-

kie objawy natury i życia są tu przedstawione, tak przynajmniej zdawało się malarzom tej szkoły, jednym pociągiem pędzla umoczonego, jak kwaczki, w błękitnej, białej lub czerwonej farbie. Zdałoby się im, niestety, przez jakiś obłęd wzroku i pojęcia, że malowanie jedną barwą, — błękitną, przypuścimy, — stanowi całą tajemnicę artyzmu, tajemnicę łatwą do zbadania dla każdego, kto może sobie zakupić całe wiadro farby.

Niezdolni stworzyć coś nowego, zwrócili się ci pędzlarze do pierwszych nowatorów tego zwrotu, do Manet'a i spółki; niezdolni przyswoić sobie ich główne przymioty, zapragnęli wydać coś śmielszego jeszcze i bardziej silnego — i stworzyli *karykaturę*! — Rozpoczęła się tedy niesłychana pomiędzy nimi emulacja, wyścigi jeden przez drugiego. Każdy chciał prześcignąć kolegę w tej zamieszce krzyczących kolorów. I przyszli do tego, że zamiast prostoty, jasności i przezroczystości barwy — dali nam poprostu ohydny bazgranine z wrażeniem, że mamy przed oczami obrazki kolorowane przez jakiego dzikiego z Polinezyi.

Artystą jest ten, w kim widok natury budzi wzruszenie i zapal, i kto stara się je wyrazić. Czy to wzruszenie wyrażone zostanie w ten lub inny sposób — mniejsza o to — byleby było. Nie wymagamy od malarza, aby koniecznie był geniuszem, ale wzmagamy, aby był tłumaczem wiernym tego, co czuje i na co patrzy. I na tem już porzucamy.

Niestety, zawsze i wszędzie, prawdziwi artyści są to *rarae aves*. Artyzm rzetelny staje się dziś tutaj coraz rzadszym, więcej nawet, bo się przesadza w jakąś dziwną i niepojętą dla nas potworność. Weźmy, na przykład, takiego pana Wiliama Donat'a. Prawda, że to Amerykanin, ale, uczeń tutejszej szkoły nowatorów, może on nam posłużyć za modłę i przykład umysłowego stanu tegocześnie malarza. Znajdziemy i inne przykłady, ale ten jest najdobitniejszy. Jak dotąd, p. Donat przyzwyczaił nas do pewnej szarej, jednostajnej barwy, w której się, jak we mgle, rozpląwał. Obrazy jego nie były pozbawione pewnych zalet, prawdziwej biegłości ręki i pędzla. Widać w nim było wielkie przejęcie się szkołą hiszpańską, mistrzem jego był szczególnie Velazquez. Dziś wszystko to znika; dziś, wśród innych obrazów, p. Donat przedstawia nam np. kobiety hiszpańskie. Na tle pomarańczowem krzyczącem przedstawia je nam siedzące jedną obok drugiej, z wyzywającym układem postaci właściwym tanecznicom.

Włosy ich *błękitne*, ogromne kresy *błękitne* krzyżują się na ich żółtych twarzach; szerokie pasy *błękitne* udają cienie ich pomarańczowych *sukni* usianych tu i owdzie różowymi plamami. Wszystko tu jest *żółte*, *błękitne* — i to czysto *błękitno-żółte*, bez żadnej przymieszki — jakgdyby chodziło o zakład, że temi dwoma kolorami wymalować można cały obraz. Istna wariacja!

Dodajmy jeszcze do tego, że widocznie p. Donat w tych obrazach chciał wyrazić coś wesołego, miłego, rozkosznego, a stało się tak, iż nie bardziej grobowego i ponurego stworzyć nie mógł. Te siedzące rzędem kobiety są to czyste nieruchome trupy, oblane światłem grobowem. Otoż z usposobieniem, jakie tu panuje, nie trzeba się dziwić, że takie obrazy mają wielkie powodzenie dla tego właśnie, że są prawdziwym zaprzeczeniem malarstwa. Światowe panie, wykwinłi panowie, krytycy o formułkach dziwnych i parodoxalnych przyjdą utrzymywać wobec tych dziwolągów, że jest to prawdziwie — *ostatnie słowo sztuki*.

Słyszeliśmy już niejedną głos odzywający się o tych obrazach, jako o prawdziwych dziełach „*de la peinture suggestive*“. Nie tłumaczę tego wyrażenia, bo w tłumaczeniu pokazałoby się, że to tyle znaczy co nie. Ale tu nie się nie trzyma wobec tak mądrego wyrażenia. Jak oni tu powiadają: *c'est le mot de la fin*. Smutne to są rzeczy. Ale czyż to sztuki piękne nie są zresztą, wyrażeniem obyczajów i moralnego usposobienia swej epoki? A więc w czasach, w jakich żyjemy, nie trzeba się temu dziwić bynajmniej.

Na szczęście, taki tu jest, jak mówiłem, nawał malarzy, że w tym tłumie znajdują się przecież ludzie i malarze, którzy wszędzie otrzymują najlepsze miejsce. Do tych zaliczyć należy, choćby na pierwszym miejscu, Alfreda Stevensa. Nie potrze-

ba w nim wyszukiwać efektów poetycznej wyobraźni, ani zbyt skomplikowanych pomysłów i odczuć, ani głębokiego rozumu. Poprzestańmy na objawie tych wyższych przymiotów malarza — technika, które nam pokazuje ten prawdziwy mistrz pędzla, w rzeczywistym mistrzostwie umiłowanej sztuki — i bądźmy mu wdzięczni za tę pociechę, którą nam przynosi. W tym rzędzie jego — *Muzykantka*, *Kapriel*, *Wirtuozka*, *Z listem* (la missive), są tu prawdziwe arcydzieła wykonania i techniki. Co to za wdzięk kolorytu, i co za pojęcie, światła i cieni... to prawdziwy malarz — i mistrz w swoim rodzaju.

Zaraz w ślady Stevensa kroczy John Sargent, nieźrównanej biegłości majster, kiedy chodzi o oddanie tej niebezpiecznej bładości, która się rozściela na pewnych twarzach kobiety światowej. Malować żywą cerę pod martwym blanszem — rzecz nielata, dać temu ruch i życie — to już sprawa czystego mistrzostwa. P. Sargent igra swobodnie z temi trudnościami i umie je zręcznie pokonywać.

P. Hillen w swoich wnętrzach starych gotyckich kościołów umie zachować spokój i przedstawić wspaniały efekt tych świątyń. Słońce, choć przenika do nich skromnie, rozświeca je przecież jakby grająca pochodnia.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CVIII.

Nasze anioły, komedia w 3-ach aktach, oryginalnie napisana przez Michała Wołowskiego — w Teatrze Letnim d. 9-go Lipca.

Dwa spostrzeżenia panują nad wszystkimi wrażeniami z przedstawienia *Naszych aniołów*: nieprawdopodobieństwo psychologiczne przy *fakturze* zasypującej oczy piaskiem humoru, i wyborna gra artystów, zasłaniająca wszystkie prawie wady sztuki — ale tylko dla widza naiwnie puszczonego się na fale swej wrażliwości. Niełatwo znaleźć komedię równie słabo zbudowaną, a jednak trzymającą się w kupie, jakąś własną logiką niemocy, z pomysłami równie poważnymi a opracowanymi bez poczucia prawdy, humorystycznie, — z równym fałszem w charakterach, zacieranym przecież przez tak zwane sytuacje, t. j. zestawienia jednych ludzi z drugimi, w których charaktery uderzają o siebie, to z gromem walki, to z jękiem cierpienia lub okrzykiem zachwytu, to wreszcie ze śmiechem pustym, jak w *Naszych aniołach*. Autor wybrał sobie ten ostatni rodzaj efektu i nie wybrał złe. Gdy się sztuki nie kocha, gdy się nie dla niej nie zbiera, nie nie piastuje i miłośnie nie wydaje z siebie, nie do wydania i do powiedzenia nie mając, — najlepszą cząstkę bierze dla siebie zawsze ten, kto zdoła zabawić, rozśmieszyć, rozweselić to wieczne głodne, głodem śmiechu trawione, pospółstwo teatralne. *Nasze anioły* p. Wołowskiego, jakgdybym patrzył na nie, ilekroć wyskakiwały przed świadomość — i beświadomość — twórczą autora *Encyklopedyi humoru*, zawsze posłuszne były tej najwyższej dziś sprężynie podobania się, zajęcia — rozśmieszenia, sprawienia przyjemności odpłacanej oklaskiem.

Gdym się od artystów sceny naszej dowiedział, że wzięli na warsztat nową sztukę p. t. *Nasze anioły*, przypomniała mi się komedia *Nie wypada*, napisana ongi przez p. Wołowskiego wspólnie z p. Kotarbińskim, i wyobraziłem sobie nową sztukę prowadzoną również w satyrycznym tonie, — gorszą lub lepszą, ale z tego poważniejszego zakresu, w którym komedię równie trudno wystawić sobie bez satyry, jak i bez poezji. Cieszyłem się, że nareszcie ubóstwiane anioły współczesne dostaną się na deski teatru, jako zbiorowa osoba moralna, główna *dramatis persona*. Spodziewałem się ujrzeć uosobioną a wysmaganą cześć, próżniactwo,

strojnisiowstwo, próżność pehająca się w wielki świat, a maluczki domowy egoizm, odgradzający się od rzeczywistego świata, niski poziom myśli i uczuć, wstręt od książki, która nie jest powieścią, pantoflowy despotyzm, poniżający mężczyzn, i morfinistyczne nerwy, zamieniające niejedyn dom w szpital wariatów — wszystko to, a przy tem wszystkim i niezupełnie jeszcze anielską etykę, choćby tylko wyjątkowych osobników. Oczekiwania te były płonne. P. Wołowski nie myślał bynajmniej pisać satyry na kobiety: zbyt wiele ma dla nich uznania, jako dla pewnego typu stworzenia, a wreszcie nie chciałby im się narazić. W najnowszej swojej „kronice miejscowej i zagranicznej” autor *Naszych aniołów* tak nam wyklada swój pogląd na oświata, przechodzącą właśnie przez jego nową sztukę:

„Nie będę mówić o komedii, lecz o samych aniołach, które są, były i będą *osią wszystkich spraw ludzkich tego świata*. Chcę się przedewszystkiem wytłómaczyć, że względem nich nie popełniłem żadnego grzechu, żem nie napisał paskwila, ale przeciwnie, starałem się ich anielsko przedstawić w całym majestacie blasku i potęgi. Naturalnie, jako satyrykowi, dozwolona było rzeczą dotknąć delikatnie tych i owych drobnych usterek niewieściego anielsstwa; ale cóż to znaczy wobec kolosalnych zalet i jaśniejących prawdziwym słońcem *cnót*, które nam, brzydszej połowie rodu ludzkiego, tak bardzo *smakują*, że choć wyrzekamy na nie, gotowi jesteśmy zawsze pod tym maciupkim pantofelkiem szukać sobie mieszkania, *aczkożliwie nie zawsze wygodnego*, przecież zasługującego na szacunek”.

Ta oś *wszystkich spraw ludzkich tego świata*, te *smakujące cnoty*, to nie zawsze wygodne, przecież zasługujące na szacunek, mieszkanie — uwalnia mnie od dowodu, że p. Wołowski, wbrew mniemaniu własnemu, nie jest satyrykiem nawet owych drobnych usterek kobiecego anielsstwa, o których mówi w swym manifestie do dam. Jeżeli w sztuce jego znajdujemy trochę ośmieszenia, to najpierw, ma ono już styl jakby zjeleżały i jest powtórzeniem dziesiątek obrazków dawniejszych w tym rodzaju, a powtórze nie należy do rodzaju satyry, ale do rodzaju karykatury. Sztuka dla zabawienia tłumu napisana sama przez się była również tylko zabawką i dla autora. Nad satyrą, szczerą, artystycznie piękną, a nową, oryginalną, dusza napracować się musi, dusza cała: i wrażenie, i myśl, i uczucie, i rozum rodzajowy, i rozum wyższy, etyczny i obywatelski. Na pracę zaś taką nie zdobędzie się nigdy komedyopisarstwo ugrzecznione, palące każdą przed pantofelkami i smakujące w cnotach kobiecych.

Akt I-szy komedii daje nam leciuchną, puszkowaną satyrę na trzech panów mężów i dwóch żięciów i teściów; daje karykaturę kółek towarzyskich dobroczynności kobiecej; ośmiesza w nikłych rysach, nerwowość, pychę społeczną i egoizm domowy starej kwoki, broniącej niby swych piskląt; ukazuje nieprawdopodobnie sentymentalna, ekliwa postać 28-letniego młodzieńca, niby z komedii rozmazganej, niby z *Le Roman d'un jeune homme pauvre*; zaznajamia nas wreszcie z rezolutną pensjonarką, która z pensji dla nieletnich przybywa do domu rodzicielskiego umyślnie na przełożoną szkoły życia dla dorosłych, i zamiast kończyć edukację własną, zaczyna hodować sobie męża, aby się stać dla niego *osią obrotową wszystkich spraw ludzkich tego świata*. W akcie II-im mały błąd jest już w pełnym wirze: rozpala zazdrość w obu szwagrach, zazdrością tą obudza uśpioną, jakby lichem uczuciami zasypaną, miłość ich ku żonom; zazdrością też wciąga w wir swój owego młodzieńca, niemającego jeszcze lat trzydziestu, aby w nim obie siostry swoje, mężatki, rozkochać. Siostry skaczą sobie do oczu, a mężowie rzucają się na biednego o niczem nie wiedzącego niedołęga, jak na swą ofiarę. Jedna siostra idzie do rozwodu z mężem; druga czeka tylko pierwszego wybuchu. W akcie III-im autor rozplątuje kłębek: każdy poznaje, że się mylił: żony spostrzegają, że młodzieniec nie o nich myślał, mężowie godzą się z żonami i z ich wielokrotnym marzeniem, a mały błąd z pensji, w I akcie jeszcze w krótkiej sukience, wychodzi za ubożego młodzieńca. Na zakończenie wreszcie ojciec, sprawca wszystkiego złego, — przyznaje się

do winy — popełnienia przestępstwa, bez którego nie byłoby komedii.

Przestępstwem jest podyktowanie listu miłostkowego owemu młodzieńcowi, Amońskiemu (p. Ładnowski). P. Heliodor Ciepiszewski (p. Frenkiel) mąż, ojciec i teść, ma drżącą już rękę, ale gorące jeszcze serce, a nie chcąc darzyć jakiegś Wiktorii złą kaligrafią, używa biednego urzędniczyny i popychadła domowego na kaligrafa. Z tą chwilą mamy już bajkę, która rośnie jeszcze, gdy Amoński, wezwany później przez pensjonarkę Jadzię (p. Czaki) do takiej samej czynności, *motu proprio* recytuje na papierze słowo to samo, co mu był podyktował p. Ciepiszewski. Papier ten porywa Jadzia i używa go za narzędzie do swej niepensjonarskiej, ale poczeiwej intrygi. Dwaj mężowie: Władysław Żęczyński (p. Prażmowski) i Henryk Marlicki (p. Wolski), każdy z osobna, wierzą w to, że list pisany był przez Amońskiego do każdej *respective* z dwóch żon (pani Lüde i panna Marcello). Ztąd zazdrość w mężach i pomiędzy siostrami, starcie z Amońskim, opędzanie się biedaka tyradą honorową, — ztąd i w starym przestępcy chęć załagodzenia sprawy przez awans i małżeństwo. Jeżeli nie jest to historia o owej musze, która napila się miodu i ukąsiła psa, a pies raz ukąszony wywołał już krwawą wojnę w gospodzie, to jest niezawodnie teatr marynetek. Ludzie p. Wołowskiego mówią sobie: „Prawdą wzruszyć nie zdołamy: rozśmieszmy te wiekiste dzieci udawaniem” — i udają ludzi. Jednej rzetelnej pobudki działania niema w całej sztuce, a główna jej sprężyna, Jadzia, pokazująca rogi, choć ich nie rozumie, a zajęta nawróceniem swych szwagrów na czystą wiarę małżeńską, Jadzia, bez której nie byłoby sztuki, jak nie byłoby jej bez listu, — jest latawcem puszczanym przez dzieci. W całej też sztuce niema ani jednego charakteru z wyjątkiem Amońskiego, przesadzonego jednakże przy pisaniu owego listu, przesadzonego aż do nieprawdopodobieństwa. Ten ubogi, matkę swoją czcigodnie kochający młodzieniec pozwala autorowi melodramatyzować w akcie III, i przez patetyczne zwierzenie przeprowadzić nagle biedę i nędzę do bram szczęścia i dobrobytu.

Autor ma do zawdzięczenia artystom dramatycznym prawie wszystko co zarobił u publiczności. Na nie-by mu się nie przydał pewien spryt sceniczny, umiejętność utrzymania ruchu na scenie, rzetelna łatwość dialogu, trzymanego karnie w obrębie wypadków dramatu — gdyby na scenie naszej nie znalazł takich orędowników, sprzymierzeńców i prawdziwych przyjaciół intencji autorskiej, jakimi okazali się wszyscy grający w *Naszych aniołach*. Rzadko sztuki tak wybornie granej, i tyle zyskującej na wybornej grze. Nie założono pracy, postarano się o werwę. To szybkie tempo, którego dopominałem się dla *Pont-Bicquetów*, w *Naszych aniołach* zrobiło swoje: przesuwa-
jąc przed widzem psychologię sfalszowaną sztuką, zakrywało przed nim jej fałsze. Nigdzie pośpiech jakby gorączkowy nie był pożądanym; niknęli ludzie, zostawały rozśmieszające sytuacje. Scena zazdrości o Amońskiego pomiędzy obu mężatkami tylko w tak doskonałej grze mogła sprawić takie urojenie. Nie przewidywano w sali, że gdy pani Lüde na swój sposób przepysnie odegra namiętne uniesienie się Żęczyńskiej, panna Marcello znowu w innych formach, ale z równym artyzmem, ukaże nam zapałową namiętność Marlickiej. Panna Czaki nadużywa efektu chodzenia krok w krok za zagniewanymi, którzy jej słuchać nie chcą; a nieszczęsne owe rogi, w grze zbyt akcentowane — raziły jeszcze bardziej swem nieprawdopodobieństwem wobec pensjonarstwa i nawet panińskiej uczciwości; zresztą Jadzia była prze-wyborna. I podrzędne również role powychodziły dobrze, wypukłe, a bez krzykliwej jaskrawości. Przyjemnie patrzeć na taką grę, i dla samej też gry artystów warto poznać dzieło autora.

Stanisław Krzemiński.

Kronika działalności kobiecej.

— W pobliżu Carskiego Siola zostanie wkrótce otwartą pierwsza w Rosyi szkoła wiejskiego i domowego gospodarstwa kobiecego.

— Donoszą z Petersburga, iż usunięcie kobiet z biur skarbowych, kolei żelaznych i telegrafów kolejowych nie nastąpi, jak mylnie głoszone. Wydanym został również okólnik potwierdzający prawa kobiet do zajmowania posad w biurach i telegrafach kolejowych w stosunku 20% do ogółu posad, ale bez żadnych praw i przywilejów przysługujących urzędnikom państwowym.

— Hr. Ksawerowa Branicka z Wilanowa objęła urząd kuratorki szpitala dziecięcego po zmarłej hr. Augustowej Potockiej.

— Szlachetny czyn odwagi Józefy Kurkowej, dróżniczki na linii kolei Nadwiślańskiej, uratował życie czterech kobiet mieszkanek Grochowa. Szły one nieuważnie plantem kolei i na 125 wiorście pod Warszawą, byłyby nieochylnie zdruzgotane przez nadjeżdżający z tyłu pociąg, gdy odważna kobieta rzuciła się ku nim i, chwytając za odzież, ściągnęła je na bok.

— Zakład malowania hr. Maryi Łubieńskiej, istniejący w mieście naszym od lat 25-ciu pod wezwaniem Ś-go Łukasza, wykonał dla kościoła parafialnego Ś-go Aleksandra ozdobne okno kolorowe fundacyi senatorowej Karnickiej, jako pamiątkę imienia jej nieżyjącego męża Jana i brata jego Justyna. Okno, umieszczone już w wymienionej świątyni, przedstawia w pośrodku postać świętą Chrystusa, po bokach Ś-ty Jan i Ś-ta Emilia. Dołem Najświętsza Panna i grupa Świętych, poniżej napis i herb rodziny Karnickich: Kościeszka. Jest już w tej świątyni podobne okno, fundacyi p. Słubickiej, trzecie — hr. Stanisława Kosakowskiego.

— Obowiązki członka korespondenta Warszawskiego Tow. Sztuk Pięknych przyjął na Wilno p. Anna Salmonicz.

— Współwłaścicielka zakładu kąpielowego w Solcu, p. Walichnowska, ofiarowała ubogim dzieciom, wysłanym z Radomia na kuracyę, bezpłatne pomieszczenie w zakładzie kąpielowym i kąpiele po cenie zniżonej, nadto pięciorgu najbiedniejszym zupełnie bezpłatnie.

— W gronie pań warszawskich, zajętych szlachetnie myślą dostarczania pracy potrzebującym jej kobietom, powstał zamiar założenia biura przemysłowej agentury, która dawałaby zajęcie kobietom jako kommissantkom i agentkom. Kapitał odpowiedni jest już w rękach inicjatorek tej nowej gałęzi zarobku dla potrzebujących go kobiet.

— P. Marya Linde, żona lekarza, uczennica a następnie asystentka szkoły dentystycznej w Genewie, zamierza praktykować w Warszawie.

— W krakowskiej szkole sług, utrzymywanej staraniem miejscowego Towarzystwa oświaty ludowej, odbył się w miesiącu ubiegłym popis, na którym przyznano najpilniejszym i czyniącym postępy najbardziej zadawalniające nagrody pieniężne. Szkoła liczyła w ciągu roku 273 uczennice, co w stosunku do zaludnienia miasta przedstawia liczbę bardzo zadawalniającą. Do końca roku uczęszczało 160 uczennic.

— P. Agnieszka Jabłczykowska, przełożona pensji dziewcząt na Podgórzu pod Krakowem, obchodziła w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca pięćdziesięciolecie zawodowej swej pracy. Rada miejska Podgórza w uznaniu jej zasług na polu wychowania nadała jej obywatelstwo honorowe, co jest zaszczytem, rzadko kiedy spotykającym kobietę.

— P. Marya Bielska, autorka „Historii Pedagogii” otworzyła we Lwowie przy wykładanym tam przez siebie od lat kilku kursie pedagogii dla nauczycielek, szkołę języków obcych z metodą nauczania Henesa, profesora języka francuskiego i angielskiego w Londynie. P. Bielska opracowała i ułożyła na podstawie nabytego doświadczenia

podręcznik dla nauczania języka francuzkiego, który ma wyjść wkrótce.

— Francuzka rzeźbiarka Berteaux, założycielka i przewodnicząca stowarzyszeniem francuzkich malarek i rzeźbiarek, postawiła kandydaturę swoją na wakujące krzesło w Akademii Sztuk Pięknych. O skutku wątpić można, ponieważ ustawa nie dopuszcza tu kobiet.

— Przed francuzki fakultet prawny raz pierwszy wystąpi kobieta z obroną tezy swojej na otrzymanie godności doktora prawa. Przedmiotem rozprawy jest „Zawody dostępne dla kobiety i ewolucja historyczna jej stanowiska ekonomicznego w społeczeństwie.” Kandydatką jest tu młoda panna, Joanna Chauvin, która ukończyła wydział filozoficzny w Sorbonnie i otrzymała tam nagrodę pierwszego stopnia na konkursie w materii prawnej.

— Prawo głosu kobiety na wyborach do parlamentu nieustannie zajmuje opinią publiczną Anglii. Na wszystkie zarzuty przeciwników odpowiedź kobiet jest zawsze niezmienna: że interes Anglii leży im na sercu tak, jak i mężczyznom, że pragną zatem, aby głos ich ważył tu na szali. Kwestya przeniosła się z kolei do dzienników, do pism peryodycznych, i tygodnik kobiecy „Gentlewoman,” postawił pewien rodzaj kwestyonariusza czytelnikom swoim, należącym, jak tytuł już objaśnia, do wyższych, wykształconych sfer towarzystwa. Rezultat głosowania wykazał 8.301 głosów za prawem głosowania kobiety; odpowiedź przeciwniczek liczyła ich tylko 1.158. Angielka, brana ogółem, ma serce umieszczone dość wysoko, aby musiała koniecznie prawa tego pożądać.

— Marya des Essarts, młoda panna ze sfer ziemiańskich, otrzymała na wystawie w Montreux nagrodę pierwszą i toast wina z honorowego kubka srebrnego, za malowany zbiór roślin i kwiatów alpejskich.

— Wilhelmina von Rosen, zamieszkująca Dreźnie pisarka, znana w literaturze niemieckiej z dzieł edukacyjnych, napisała świeżo broszurę, w której stawia zapytanie: czy dzisiejszy umysłowy ruch w świecie kobiecym jest w skutkach swoich dodatnim, lub ujemnym — czy uszlachetnia, czy daje kobiecie więcej szczęścia, lub też stopień jego zniża? Nauka przez rozświecenie widnokręgów myśli, przez podniesienie nad życia sprawy pozoime, koniecznie musi uszczęśliwiać ludzi, bo wytwarza zdolność do szlachetniejszych, wyższych poglądów na życie, więc podnosi ponad żale drobnych strat i zawodów, które, wynikając z koniecznego ruchu życia, są nieuniknione, a którym umysły wyższe nie dają tak wysokiego miejsca, aby decydowały o doli lub niedoli człowieka. Zatem stan takiej podniosłości umysłowej uszczęśliwia niewątpliwie, ale wtedy tylko, gdy to nie oderwie kobiety od jej naturalnych warunków życia. Jeżeli przecież nauka nie da jej tego rozumu, aby znała przeznaczenie swoje wśród ludzkości i przystała na konieczny tu podział pracy, istniejący we wszystkim wśród świata, a który wykazuje już przyroda sama, — wtedy wyższa wiedza stanie się jedynie źródłem pragnień, które zadowolonomi być nie mogą, więc są źródłem cierpień i koniecznych zawodów, zatem pierwiastkiem rozkładającym szczęście.

— Aniela Coillard, żona francuzkiego misyonarza wyznania kalwińskiego, dzieląca z nim przez lat trzydzieści trudy jego powołania i ciężkie zwłaszcza dla kobiety warunki życia wśród plemion murzyńskich, w klimacie denerwującym Europejczyków, umarła. Pogrzeb jej wykazał miłość, jaką wzbudziła zwłaszcza między kobietami i dziećmi murzyńskimi. Przybywały one i z dalszych oaz, przynosząc ze sobą gałązki zieleni, któ-

remi pokryto mogiłę. Krzyż, jaki na niej wzniesiono, był dziełem młodego murzyna, którego zmarła była matką chrzestną.

Z bieżącej chwili.

— W okolicach Petersburga przewóz poczty i depesz telegraficznych dokonywa się na welocepedach.

— Kommissya sanitarna w Petersburgu wniosła do rady miejskiej petycję o udzielenie jej kredytu 100.000 rs., na zarządzenie środków sanitarnych.

— Warszawski komitet plantacyjny opracował nowy projekt zadrzewienia Warszawy, która w stosunku do swego obszaru i ludności nie posiada tyle roślinności, ile-by jej mieć mogła. Projekt żąda, aby na wszystkich ulicach szerszych, jakich miasto nasze liczy 38, właściciele domów złożyli obowiązkowo fundusz na koszt zasadzenia drzew w gatunkach wskazanych przez rzeczoznawców. Tym sposobem w przeciągu lat dwóch może przybyć miastu około 1.000 drzew, głównie akacyi i klonów. Kasztany mniej są odpowiednie do wysadzania ulic miejskich.

— Wyruszyła z Warszawy do Częstochowy kompania złożona z 700 osób. Przed wyruszeniem w drogę cały ten tłum pobożny wysłuchał mszy w kościele po-paulińskim.

— Za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego” przesłał p. Erazm Jerzmanowski z Nowego Yorku, bawiący obeanie w Krakowie, 200 rs. na Schronienie Nauczycielek w Warszawie (Królewka Nr 37).

— Uchwała krakowskiej rady miejskiej postanowiła aby wymalowanie kurtyny do nowego teatru zostało powierzone Siemiradzkemu za cenę 15.000 złr., co znaczy za cenę kosztów, bo artysta nie żąda dla siebie. Kurtyna będzie mieć ostatecznie 9,05 metrów wysokości i 11,60 metrów szerokości. To jej przedstawiać ma obraz zamknięty w głębi kolumnadą, zakreślającą półkole; w środku ołtarz sztuki na tle portyku w kształcie łuku tryumfalnego, ponad kolumnadą błękit niebios. Na ołtarzu geniusz sztuki, któremu piękno i prawda hold składają. Z lewej strony grupa postaci przedstawiających zawiadzoną miłość, podstępna intrygę. Na środku pierwszego planu postać alegoryczna komedii rozrzuca maski, które wybiera i podnosi Momus; z prawej strony trójnóg grecki, dalej Psyche, Poezya, Muzyka i wdzięczne grono tańczących Graeci. Całość jest bardzo miła.

— Rygiel przesłał z Rzymu, gdzie bawi, list komitetowi wzniesienia pomnika Mickiewicza. Grupa pierwsza, alegoryczna, już odlana jest z brązu i wykończona zupełnie; grupa druga, „Poezya,” odlewa się również z brązu i jest na ukończeniu, jak i grupa trzecia. Kolosalną postać Mickiewicza artysta modeluje właśnie, i przed końcem Września będzie ona odlana, części granitowe już wykończone i w tymże terminie ustawione zostaną. Grupa alegoryczna „Nauka” odlana będzie z brązu w Kwietniu 1893 r.; cały pomnik stanie gotowy z końcem Czerwca 1893 r., jakkolwiek umowa oznacza czas wykończenia dopiero na d. 20 Listopada.

— Konkurs na budowę pomnika Fredry rozstrzygnięto w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, w lokalu Koła literacko-artystycznego.

Pierwszą nagrodę: wykonanie pomnika, otrzymał projekt „Boruta” to jest prof. Marconi. Drugą nagrodę 100 złr. przyznano profesorowi szkoły przemysłowej, Tadeuszowi Wiśniowieckiemu, trzecią otrzymał projekt nadesłany z Florencji beziemiennie, przypuszczają, że Mieczysława Zawieskiego; na wzniesienie pomnika zebrano dopiero 43 złr.

— Doroczne zebranie Towarzystwa upiększenia Krakowa nie zgromadziło wszystkich swoich członków. Starszy zgromadzenia, Dr Wilkosz, oświadczył, że Towarzystwo liczy obecnie 147 członków. W ciągu roku przybyło członków tylko trzech, ubyło przez niepłacenie składek 34; śmierć zabrała dwóch: ś. p. Pawła Popiela i Dra Ziembińskiego, których pamięć uczciło Towarzystwo przez powstanie. Mimo liczebnie niepomyślnego stanu, Towarzystwo usiłuje rozwijać odpowiednią zadaniu swemu działalność; w roku sprawozdawczym obsadzono stoki Wawelu kilkoma tysiącami młodych świerków, oraz dwoma rzędami drzew rozmaitych wysadzono drogi: od rogatek Wolskich przez Błonia, aż do parku Jordana i od rogatek Zwierzynieckich do kaplicy Ś-ej Magdaleny. Na Błoniach zasadzono lasek drzew iglastych. Obok tego i innych prac pomniejszych, postanowiono obsadzić drzewami place i szersze ulice samego miasta, na co przecież rada miejska nie wydała pozwolenia. Dochody tego pożytecznego Towarzystwa przyniosły w roku sprawozdawczym 3.134 złr., wydatki 278 złr., bo Towarzystwo umie się rzadzić oszczędnie — i czy tylko nie kryje się pod tem brak ożywczego ruchu?

— Pierwszą wystawę prac uczniów i uczennic ludowych szkół wiejskich z krakowskiego i wielickiego okręgu urządzono w gmachu nauczycielskiego seminarium dla dziewcząt. Wystawę zwiędził starosta krakowski i ksiądz kardynał Dunajewski.

— Hr. Tarnowski Jan, właściciel ziemski, otworzył w Nieklaniu sklep, gdzie robotnicy przy hutach nieklanówskich nabywać mogą produkta spożywcze po cenie kosztu, a że przy wielkim piecu pracuje kilkasiet rodzin, stanowi to wielkie dobrodziejstwo dla znacznej liczby ludzi.

— Grono młodzieży krakowskiej wybrało się na pieszą wycieczkę w Tatry. Wycieczki takie wzmacniają nie tylko siły ciała, ale pokrzepia się i duch widokiem piękna natury swojskiej.

— Komitet kolonii w Poznaniu wysłał na wieś 470 dzieci. W połowie bieżącego miesiąca obok tego wyprawiona będzie druga taka partya — a czy to nie ś. p. Dr Gustaw Fritsche dał w zakresie odpowiednim pierwszy popęd tej dobroczynnej działalności? W połowie bieżącego miesiąca wyjedzie z Poznania druga taka partya biednych maleństw.

— W Sierpniu będą urządzone w Poznaniu wyścigi gołębi pocztowych z nagrodą złotego medalu. W Opolu odbyły się już takie wyścigi i gołębie wypuszczone z Torunia i Trzemeszna przybyły tu, przebiegłszy w przeciągu godziny 60 kilometrów drogi. Hodowca otrzymał pierwszą nagrodę, medal srebrny. Sierpniowe wyścigi będą urządzone z Torunia do Poznania.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: Arkusz 8-my powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pożyteczna instytucja, przez M. I.—Dróżnik obrazek z natury, naszkicował Józef Starkman.—Krzysztof Kolumb (dalszy ciąg). — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryskie. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

Kołnierz z koronki.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 27.

Kołnierz wykonany z koronki irlandzkiej koloru „crème“ 20 c. szer. Na górną część użyć 235 c. koronki, którą w odstępach 5, 10 i 15 c. od górnego brzegu przewlec wstążeczką 1½ c. szer. tegoż samego co koronka koloru. Dolna część odpowiednio zmarszczona ma obwód 375 c., na ramionach ścięta zmarszczona. Kokarda z wstążki wykończyć całość podług ryc.

Napiersnik z „surah“

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 27.

Napiersnik, służący jako dopełnienie kaftanika, paltotu i t. p., wykonany z „surah“ koloru białego, haftowanego jedwabiem różowym. Część 52 c. szer. a 64 c. długą, zmarszczyć w górnym brzegu po kilkakrotnie podług ryc. i wszyć stojący kołnierz 5 cent. szer., zapinany w tylnej części; dolny brzeg zmarszczony i zaopatrzony szerokim paskiem, fałdowanym „Marie Louise“, zapinanym z boku.

Fiszutka z jedwabnej krepy i koronki.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 27.

Fiszutka, wykonana z jedwabnej krepy koloru różowego 58 c. szer. a 95 c. dług., obszytej wzdłuż koronką 260 c. dług. a 15 c. szer.

Żabot z jedwabnej gazy i koronki.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 27.

Żabot z gazy koloru różowego, przybrany koronką irlandzką 7 c. szer. Wykonać najprzód kołnierz stojący 5 c. szer. z materiału jedwabnego, oraz z gazy fałdowanej wzdłuż a w środkowej części przyszyć dwa końce koronkowe 58 c. dłu., które w poprzek połączyć gładko na 12 c. Następnie ułożyć w fałdy dwie części gazy mniej więcej 23 c. szer., skrajane ukośnie, przyszyć takowe do stojącego kołnierza, ułożyć końce na koronce podług ryciny w kokardę, przyszyć wolno wiszące jeszcze końce, oraz takież sam 30 c. dług. koniec do kokardy i do gazy. Złożenie fałd przepiąć kilkoma fantazyjnymi szpileczkami.

Szalik z materiału jedwabnego ozdobiony haftem.

Ryc. Nr 15 w Bl. Nr 27.

Szalik z materiału jedwabnego koloru ponsowego, służący do uzupełnienia toalety spacerowej. Wykonany z części 18 c. szer. a 140 c. dług. Dolne brzegi ozdobione haftem wykonanym jedwabiem kolorowym i czarnym.

Pelerynka wykonana szydełkiem.

Ryc. Nr 29 w Bl. Nr 27 (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 70).

Pelerynka wykonana grubym szydełkiem czarną włóczką. Skrajać najprzód karczki z muslinu fig. 70 jedną część złożoną wzdłuż środka, wykonać wskazane fałdy i rozpocząć robotę od przedniego brzegu na odpowiedniej ilo-

ści założonych oczek (oryginał na założeniu 16 ocz.) tam i napowrót.—I kolej: (karczki w dolnym brzegu wykonywać luźno, przy szyi zaś nieco ściślej). Następne o. opuścić, ciągle 1 ściś. ocz. w następne o.—2 kolej: 1 pow. o., potem ciągle 1 ści. o. w następ. o.; powtarzać ciągle kolej poprzednią, przyczem stosownie do miary należy ocz. przyjmować lub gubić. Co do peleryny, także rozpocząć od przedniego brzegu na założeniu 20 ocz. i wykonywać tam i napowrót 1 kolej, jak kolej 1-a karczki i przy zakończeniu kolei łączyć takową a potem każdą następną z brzegiem oczek karczki, (na ramionach należy w miejscach oznaczonych * jedno o. przyczepiać 2 razy i jeden raz jedno o. trzy razy).—2 kolej: ciągle 1 ści. o. w przednią żyłkę następ. o.—3 kolej: 1 pow. o., ciągle 1 ści. o. w przed. żyłkę następ. ocz. Wykonywać tylko do tylnego środka 83 koleje, jak poprzednie dwie koleje, przyczem dla nadania formy należy w 5-ej kolei stosownie do potrzeby, oraz przy zakończeniu każdej przybierać o. przed o. przyczepionem, tak, żeby o. przyczepione trzech kolei stanowiły 29 c. długości a następnie gubić o. w sposób, ażeby 86 kolej, która stanowi tylny środek peleryny liczyła 25 ocz. Drugą połowę wykonać tak samo. Kołnierz wykonać cieńszymi szydełkami nieco ściślej i rozpocząć takowy od przedniego brzegu na założeniu 7 o., następne o. opuścić, na tychże powracając wykonać 74 koleje w tymże desenie co karczki a w środkowej 34 kolei zamiast 6 ściś. o. wykonać 7. Następnie otoczyć przedni i górny brzeg kołnierza 1 koleją, jak następuje: Ciągłe naprzemian: 2 ści. o. przedziel. 3 pow. oczkami w następ. brze-

gu o., 1 o. opuścić a w końcu ciągle naprzemian: 7 pow. o. i 1 ści. o. w następ. dolny brzeg kołnierza. Przedni brzeg, jako też i dolny peleryny, oraz dolny brzeg karczki, tak samo otoczyć, ale w tym ostatnim zamiast 7 o. wykonać 12 pow. ocz. Połączyć kołnierz z karczkiem i podszyc takowy jedwabnym czarnym materiałem.

Serweta na stół z pluszu i sukna (gobelinowe malowidło otoczone ściąganiem gałązkowym).

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 27. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 71).

Tło serwety wykonać z pluszu ponsowego i otoczyć szlakiem z sukna białego, ozdobionego malowidłem gobelinowym, zakończonym w dolnym brzegu paskiem z pluszu ponsowego.

Postument na laski do pokoju męskiego.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 27. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 72).

Postument wykonany z tektury 50 c. wysok. na średnicy 20 c., wewnątrz i zewnątrz pokryty skórą brązową. Część górna otoczona pasem 2½ c. szer. ze skóry, złożone gwoździki i pasy z pluszu koloru poziomkowego wykończają całość. Górna część otoczona pasem pluszowym 11½ cent. szer. Deseń przedstawia fig. 72, który wykonać ściąganiem płaskim na podkładzie z bawełny jedwabiem brązowym w pięciu cieniach, oraz złotą nitką i złotym sznurkiem.

Serwetka ozdobiona haftem (siatka i robota klockowa).

Rycina Nr 34, 28, 30 i 33 w Bl. Nr 27. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36 i 37).

Serwetka wykonana z tkaniny lnianej w połączeniu z tłem siatkowym. Część tkaniny lnianej 77 c. dług. a 74 cent. szer., otoczona obrąbkami 3 c. szer. z mereszki, a następnie koronką klockową, której deseń i wzorek przedstawia ryc. Nr 28 i 33. Cztery figury z siatki zwyczajnej stanowiące środkową część, wykonane kordonkiem koloru ponsowego, tło wykonać podług ryc. Nr 30 jedwabiem koloru łososiowego, a deseń przewlekaną złotą nitką. Figury, z pod których należy wyciąć tkaninę, otoczone szlaczkami ¾ c. szer. gęstym ściąganiem gałązkowym, jedwabiem koloru łososiowego, co się powtarza w odstępach 2½ c. i otacza ponsowym jedwabiem, węższe paski wykonać w środku podług ryc. Po wykończeniu roboty zaopatrzyć serwetkę podszewką i ozdobić koronką klockową, wykonaną podług ryc. Nr 28 i 33.

Suknia z bluzą i z kaftanikiem.

Rycina Nr 1. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 39—45).

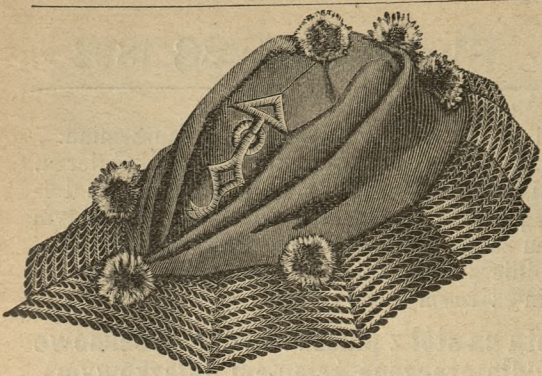
Suknia z wełnianego materiału koloru piaskowego, złożona z spódnicy i kaftanika, oraz bluzki z „surah“ i przybrana haftem aplikacyjnym, wykonanym



Nr 1. Suknia z bluzką i kaftanikiem. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 39—45).

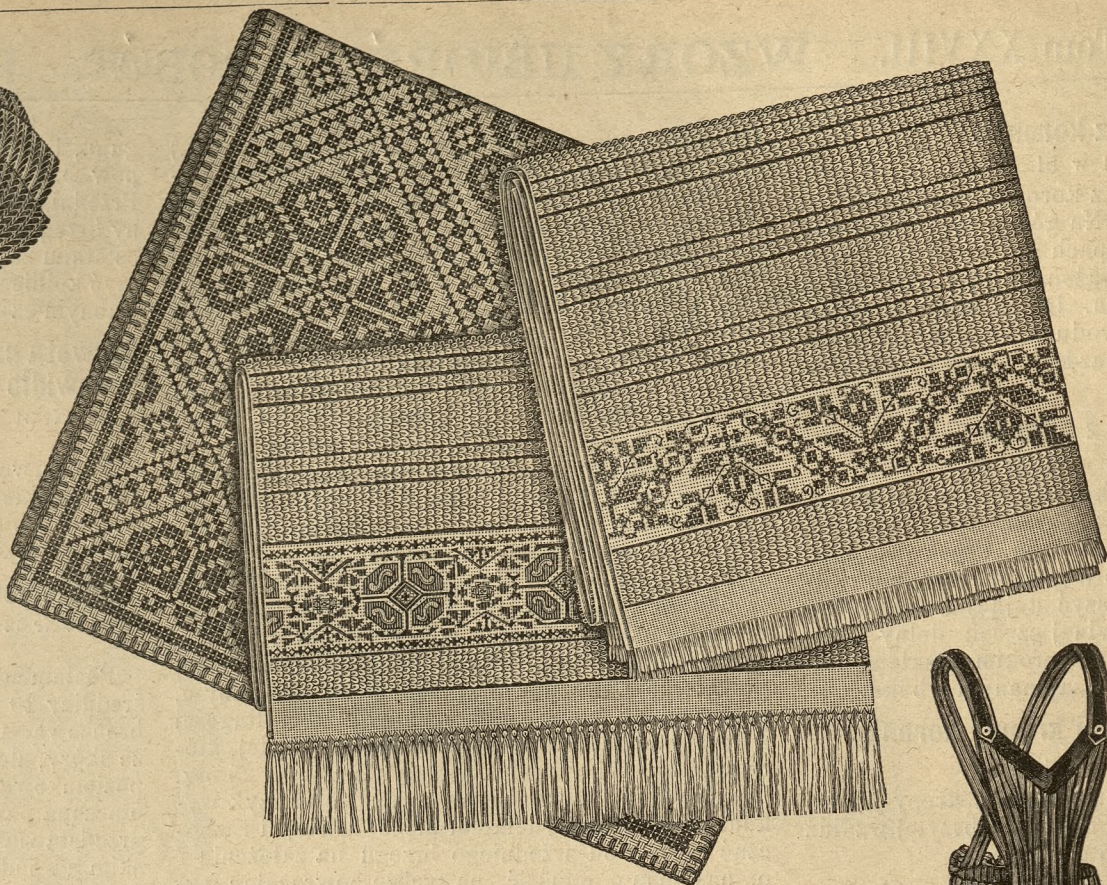
Nr 2. Paltot dla panienki od 3—5 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15—20).

Nr 3. Suknia dla panienki od 8—10 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 63—71).

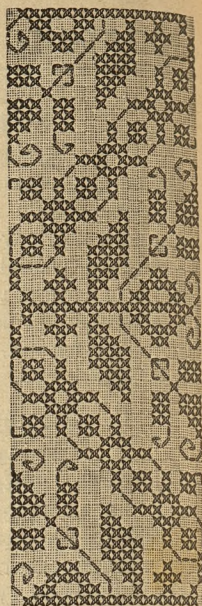


Nr 4. Kapelusz dla panienki od 5—7 lat.

jedwabiem — nieco ciemniejszym i sznelą. Spódnica w kliny cała na podszewce, w dolnym brzegu ozdobiona haftem po nad szerokim obrebem. Kaftanik skrajać z podszewki i z materiału po dopełnieniu złożonych figur 39, 41, 42 i 44, podług fig. 39—42 po dwie części, podług fig. 44 rękawy z uwzględnieniem konturu spodnich części podszewki. Przednie części zaopatrzyć podkładem. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Kołnierz skrajany wzdłuż środka podług fig. 43 zaopatrzyć podkładem i przyszyć do stanika od 7 do 11, obłożyć ta-



Nr 5—7. Dywanik do kąpieli, ręcznik i prześcieradło ozdobione haftem (do ryc. Nr 20 i 21 w Bl. Nr 29 i do ryc. Nr 10 w Bl. bież.).



Nr 10. Deseń do ryc. Nr 7 (ścieg Smyrna i Holeyja).



Nr 8. Monogram.



Nr 9. Fartuszek do gospodarstwa. (Krój i opis pierw. str. tabl. Fig. I—II).

bluzkę zmarszczyć w górnym brzegu aż do *, przyszyć stojący kołnierz, przedni brzeg obrabić i przez obrábek przewlec elastyczną tasiemkę. Szeroki pół pasek uzupełnia całość.

Suknia dla panienki od 8—10 lat.

Rycina Nr 3. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 63—71).

Suknia z materiału wełnianego koloru białego w grochy niebieskie z karczkiem „surah” koloru niebieskiego i z riuszą wełnianą. Skrajać z podszewki fig. 63 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 66 i 67 po dwie części; rękawy podług fig. 70, potem z materiału wełnianego fig. 69 dwie części; fig. 65 jedną część, fig. 71 dwie części złożone wzdłuż środka, zwrócić jednak uwagę w fig. 70 i 71 na spodnie kontury. Po wykonaniu w fig. 63 małych fałdek i zaszewek połączyć plecy, boczki i przednie części z podszewki aż do szwu od 49 do 51 oraz z kołnierzkiem 4 c. szer. z „surah” potem również z „surah” podług fig. 64 i 68 skrajać 2 części, zeszyć takowe podług cyfr i znaków, wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, zmarszczyć podług ryc. tworząc główkę; przyfastrygować do podszewki pokrywając kołnierz, niepotrzebny materiał przy paszce wyciąć. Następnie fig. 65 i 69 ułożyć w fałdy w dolnym brzegu, trafiając każdy $\frac{1}{4}$ na kropkę, oraz $3\frac{1}{4}$ na jednej kropce. W górnym brzegu zmarszczyć od do *, wyłożyć w dolnym brzegu wzdłuż linii zgięcia, umocować pokrywając szew wypustką i wykonać szew od 49 do 51. Zmarszczyć górny brzeg rękawów z podszewki od * do *, połączyć z spodniami, dolny brzeg obłożyć aż do linii materiałem wełnianym, rękawy z materiału zmarszczyć od dwukropka do dwukropka, zeszyć, przyfastrygować do podszewki i wszyć, trafiając w 61 na 61. Ozdobić stanik riuszą układaną w kontrafałdy podług ryc. Spódnica z alpagi 160 c. obwodu a 59 c. dług., podszyta muślinem do połowy, pokryta spódnicą z materiału tejże długości a 240 c. obwodu. Dolny brzeg ozdobiony 2-ma rzędami riuszki układanej ze wstążki repsowej 3 c. szer.

Nr 11—13. Ubranie i kapelusz do kąpieli.

Krój i deseń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—30.

Nr 14. Płaszcz do kąpieli.

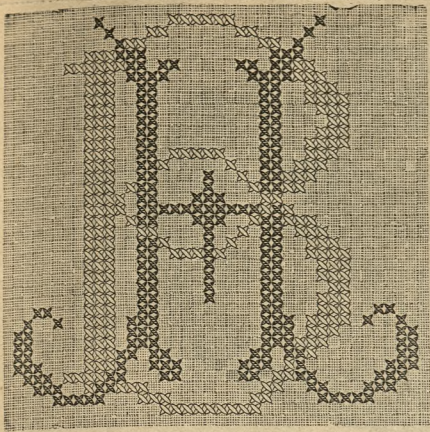
(Krój pierw. str. tabl. Fig. III—IV).

Nr 15 i 16. Ubranie do kąpieli i czapka.

(Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 58—62).

Nr 17. Ubranie do kąpieli dla panienki od 6—8 lat.

(Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 53—57).



Nr 18. Monogram (ścieg krzyżowy).

z takiejże wstążki przepasanie w pasie, pokrywa połączenie stanika ze spódnicą.

Ubranie do kąpiel i kapelusz.

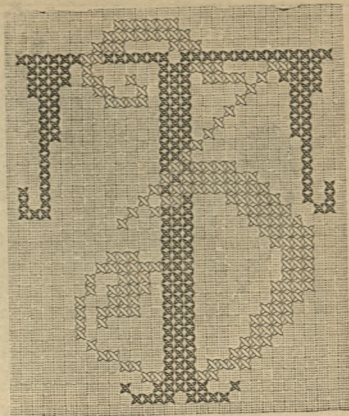
Rycina Nr 11-13. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21-30).

Skrajać majtki z barchanu koloru niebieskiego podług fig. 21 (po dopełnieniu złożenia) dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej części. Dolną część zmarszczyć i obszyć falbanką 11 cent. szer. a 65 cent. obwodu, obszytą białą pletnią. Zeszyć każdą część od 39 do 40, oraz przednie połowy od 40 do 41, tylne od 40 do 42. Do prawego przedniego brzegu przyszyć klapkę z dziurkami, do lewego z odpowiednimi guzikami listwę. Ułożyć fałdy od * do 42 i wszyć pasek 4 c. szer. a 74 c. dł., naszyty pletnią, zapinany z przodu. Bluzę skrajać z niebieskiego barchanu podług fig. 23 dwie części, fig. 24 jedną, fig. 26 dwie części złożone wzdłuż środka. Po odłożeniu spodnich przednich części białym barchanem do linii zgięcia, jako też i pletnią, tak jak i rękawy, przednie części wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, dolny brzeg ułożyć w fałdy, trafiając każdy $\frac{1}{4}$ na kropkę i połączyć takowe z plecami. Po wszyciu rękawów, wykonać napierśnik z barchanu białego podług ryciny i wykończyć haftem (fig. 27 i 28), oraz



Nr 20. Suknia z krepy chińskiej i materiału „broché” jedwabnego.

Nr 21. Suknia z materiału jedwabnego w paski.



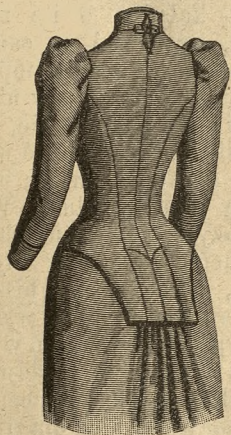
Nr 19 Monogram (ścieg krzyżowy).

„crème” w różowe paski. Skrajać fig. III i IV po jednej części, złożonej wzdłuż środka, wykonać szwy ramienne od 1 do 2, zmarszczyć wycięcie szyi z przodu od 5 do *, z tyłu od szwu ramiennego do 4. Kapturek zeszyć od 3 do 4, zmarszczyć takowy w górnym brzegu, połączyć z płaszczem od 4 do 5 i zapatrzyć w kołnierzyk prosty z materiału podwójnie złożonego. Sznur z kwastami uzupełnia całość.

Ubranie do kąpiel i czapeczka.

Rycina Nr 15 i 16. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 58-62).

Ubranie złożone z bluzy i majtek. Skrajać z szewiotu koloru granatowego fig. 58 po dopełnieniu złożenia tejże, dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej połowy majtek. Dolny brzeg obszyć dwa razy galonem białym i zeszyć od 39 do 40, jako też przednie połowy majtek od 40 do 41, tylne od 40 do 42. Wzdłuż podwójnej linii wykonać nacięcie, do przednich części przyszyć listwę pod spodem do tylnych, na wierzchu górną część ułożyć w fałdy



Nr 22. Tylna część sukni Nr 25.

podszyc tym samym materiałem. Przyszyć kołnierz od 49 do 50; napierśnik przyszyć do lewej przedniej części od 43 do 44 i zapinać takowy z prawej.

Kapelusz skrajać z ceraty przezroczystej w deseń podług fig. 29 i 30 po jednej części złożonej wzdłuż środka i połączyć główkę z karczkiem 9 c. szer. a 58 c. długości, przy czym przyszyć wypustkę z ponsowego wełnianego galonika na podkładzie z trzciny. Wykończyć falbaną podług ryciny. Do wiązania wstążeczki wełniane koloru ponsowego.

Płaszcz do kąpiel.

Rycina Nr 14 (Krój pierw. str. tabl. fig. III i IV).

Płaszcz z materiału bawełnianego włochatego koloru

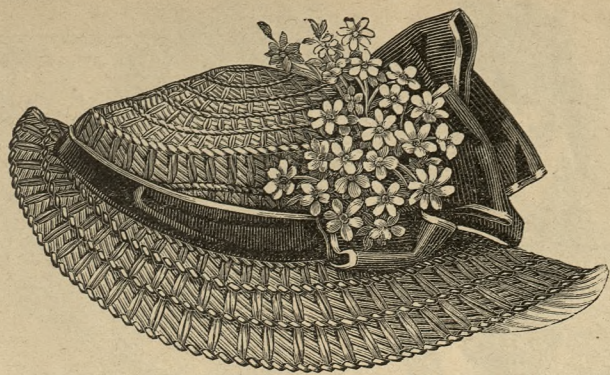


Nr 23 i 24. Suknia z materiału jedwabnego „changeaut.” (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1-12).

Nr 25. Suknia „tailleur” ozdobiona sutaszem (do ryc. Nr 22). Krój i deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31-38.

Nr 26. Suknia z zefiru przybrana wstążką.

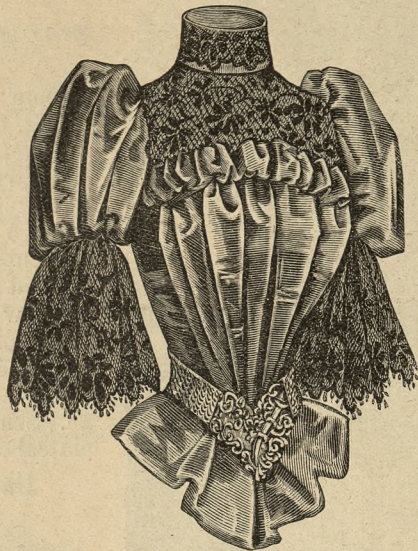
Nr 27. Suknia z fularu przybrana koronką.



Nr 28. Kapelusz ogrodowy z słomy fantazyjnej.

od dwukropka do 42 i wszyć w pasek 5 cent. szer., 42 c. dł. z przodu a 45 c. z tyłu, przez który przeciągnąć tasiemkę, boki zaś zaopatrzyć w dziurki i w guziki. Bluzę skrajać z szewiotu po dopełnieniu złożenia fig. 59 i 60, podług fig. 59 dwie części z uwzględnieniem wystającego konturu lewej przedniej części. Fig. 60 jedną część złożoną wzdłuż środka i fig. 61. Połączyć plecy i przednie części, do prawego przedniego brzegu przyszyć klapkę z dziurkami i zaopatrzyć lewe ramię w dwie dziurki a lewą przednią część w odpowiednie guziki. Przybrać bluzę białym galonem, wyhaftować białą włóczką kotwicę (podług fig. 27) i wycięcie szyi obszyć riuszką z galonu 2 c. szer.

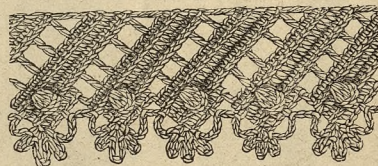
Czapeczkę wykonać z żółtej cienkiej ceratki (ryc. Nr 16). Skrajać fig. 62 jedną część złożoną wzdłuż środka i obszyć plecianką ponsową wełnianą ząbkowaną. Na denko skrajać



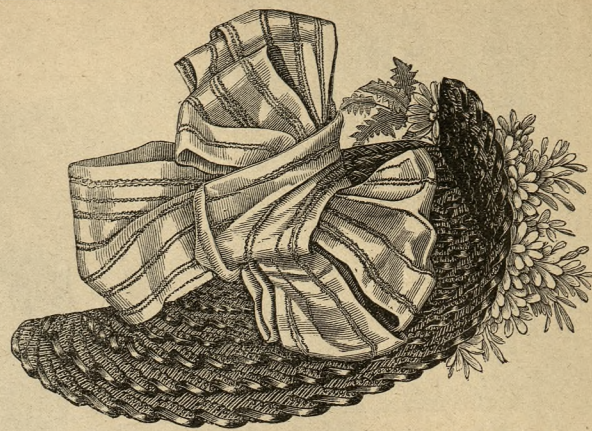
Nr 31 i 32. Bluzka i pasek.



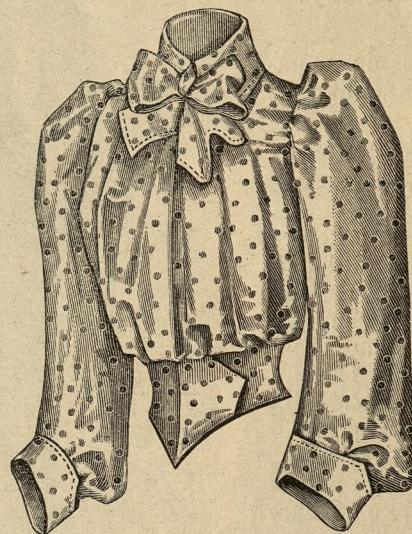
Nr 30. Płaszcz od deszczu dla panienki od 4—6 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 72—74).



Nr 34. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 29. Kapelusz ogrodowy z słomy fantazyjnej.



Nr 33. Bluzka z fularu.

część 53 c. szer. a 61 c. długą, zaokrąglić takową w dolnym brzegu. Górny brzeg ułożyć w 4 głębokie fałdy i wszyć w karczerek razem z falbaną 6' c. szer. otoczoną ponsową pletnią 2½ cen. szer. W miejscu oznaczonym * przyszyć tasiemki ponsowe do wiązania z tyłu.

Suknia z zefiru ozdobiona wstążką.

Rycina Nr 26.

Spódnica 300 cen. obwodu z zefiru w pasy kolorowe przezroczyste, zaopatrzona podszewką z satynki, otoczona w dolnym brzegu falbanką ukośną 9 cent. szer. Stanik krótki w rodzaju bluzki na podszewce, otoczony podług ryc. 3-ma rzędami niebieskiej atlasowej wstążki 6 c. szer., z wypustką ze wstążki różowej i otoczeniem z koronki irlandzkiej, pasek ten zapina się na szwie bocznym. Kołnierz stojący, pokryty niebieską wstążką, jak również dolny brzeg bufiastych rękawów do łokcia.

Przepisy gospodarskie.

Kalafiory „au gratin.”

Piękny kalafior o ile można w całości, ugotować w osolonej wodzie, odparzyć go poprzednio, uważając jednak, aby nie był za miękki i nie połamał się, odcodzić na sito i zaraz włożyć w rondlek w gotujące świeże masło, niech się nieco poddusi. Wtedy obsypawszy go ze wszystkich stron parmezanem włożyć w srebrny rondlek, polać gęstym biszamelem (patrz 365 obiadów wydanie 16), posypać parmezanem wymieszonym z tartą bułką, polać wszystko młodem rozpuszczonym masłem i wstawić w piec dla zrumienienia na górną kondygnację. Podaje się z rondelkiem lub głębokim półmiskiem metalowym, można jednak robić to w porcelanie a stawiając w piec podłożyć na blachę warstwę piasku lub cegły.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa z jarzyn.
2. Południca z makaronem.
3. Kalafiory.
4. Kaczki młode z jabłkami.
5. Ciastka kruche z poziomkami.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszu podać się mających.



Nr 35 i 36. Suknia z fularu i kapelusz z bastu.

Nr 37. Suknia z batystu ozdobiona haftem.

Nr 38 i 39. Suknia z beżu ozdobiona taśmą pasmanteryjną i kapelusz z pletni z łyeczku.